

JAN BRDA

IGRASZKI z DIABŁEM

Komedia w dziesięciu odsłonach

Z czeskiego przełożył

EDYZJAN HIERONSKI

3

O S O B Y :

MARCIN KABAT, weteran

SARKA-PARKA, rozbójnik

OJCIEC SCHOLASTICUS, pustelnik

LUCJUSZ, młody diabeł - kusiciel

DISPERANDA, królowna

KASIA, jej służebnica

SOLFERNUS, radca piekielny

BELIAL, również radca piekielny

BELZENUS, książę piekieł

OMNIMOR,
- dwa chłopskie diabły

KARDORUND,

TEOFIL, poseł anielski

HUMBERT, łowczy królewski

DIABŁY wszelkiego rodzaju.

- - -

Pusty las. Wśród wysokich świerków cęściowo przysłonięta niskimi krzakami stoi chałupa z napisem: "SARKA/FARKA, rozbójnik." W drzwiach tej chałupy niewidoczny dla przechodniów siedzi SARKA-FARKA, zarosnięty, w splezastym kapeluszu zbójckim z piórem i przeciąga wiewiórczą kitką lufy pistoletów. Z boku wbiega na scenę MARCIN KABAT. Na plecach ma tłumoczek wędrowca, w ręku laskę. SARKA-FARKA spostrzegłszy go, szybko nabija obydwie pistolety i kryje się za świerkiem. MARCIN wbiega szybko, oczy utkwione w górze, widocznie ściga po lesie wiewiórkę, która przeskakuje z korony jednego świerka na drugą.

- - -

MARCIN: Widzicie go tego rudiśla. Już jest tam. A kyesz. /uderza laską o piedź drzewa, chwilkę przygląda się uważnie, potem podbiega do następnego/.

Rób co chcesz bracie, ale Marcinowi nie uciekniesz. Ja dziecinno.../biegnie do trzeciego drzewa, uderza laską o piedź/ ja dawałem radę... jedziesz jak oferra./znów biegnie do innego drzewa w ślad za skaczącą w górze niewidoczną wiewiórką/ ja dawałem radę lepszym od ciebie grenadierom. /wzjmuje laskę jak szablę i zaczyna nią "ciąć" wokół głowy./ Tego dzikusa janczara tałem na dwie pożyczki przetrąbał, że nogi nie wiedziały, gdzie im się głowa podziłała. /teraz podnosi szybkim ruchem laskę do twarzy jakby mierzył ze strzelby/... a z muskietu tom samego baszę tak z kobyły ściągnął./mierzy do wiewiórki/ Pif.Paf.

SARKA-FARKA: /który sledzi zachowanie się Marcina, równocześnie z nim podnosi rękę z pistoletem jakby miał zamiar strzelić do niego z zasadki, ale gdy wiewiórka przeskoczyła na drzewo, na którym stoi, szybko wiaż ją na cel i przy słowach Marcina: "Pif.Paf." wystrzelił./

MARCIN: /nie widzi rozłajaka i nie orientuje się w sytuacji, podbiega do wiewiórki, która spadła z drzewa i pochyliła się nad nią/:

No i widzisz rudzielcu, jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści. /podnosi martwą wiewiórkę za ogon i ogląda strzał/. No, no Marcinie, cel jak za starych dobrych czasów. Prosto w kepek. A com ci mówił? Żebyś nawet baszą turecką była Marcinowi się nie wyakniosz.

SARKA-FARKA: /zbliża się tymczasem cicho od tyłu do Marcina i gdy ten wyprostowuje się przykłada mu pistolety do pło-
cna/:

Ani aru-aru, chłopie, bo inaczej będziesz miał kulę w kiszkaach.

MARCIN: /wyprostowuje się powoli/:

O do diabła. To nas tu jest więcej. A celujesz do mnie z łaski, czy masz prawdziwą flintę?

SARKA-FARKA: Pistolet, żebyś wiedział. I to dwa.

MARCIN: No jak tak, to przewaga po twojej stronie. Gdybyś miał tylko jeden, to byś jeszcze spróbował udzielić cię moim kosturkiem po głowie. Ale skoro masz dwa

to się poddaje./ podnosi ręce do góry trzymając w jednej z nich wiewiórkę, przy tym dmuchnął jej we futerko i przyglądał się jej ze znawstwem/: No, no tłusta, nie ma co mówić. Sanyai orzechami karmiona.
/podnosi ręce zupełnie ponad głowę, trzymając w jednej łaskę, w drugiej wiewiórkę/. Hej, ty tam w tyle. Jesteś zwyczajny gajowy czy może sam pan leśniczy ?

SARKA-PARKA: Ja jestem sławny zbój **SARKA-PARKA** znany za dziewiątą rzeką i za dziewiątą górą, jestem arcymorderca, przed którym drży wszystko, co żyje.

MARCIN: No to mi spada kamień z serca. Bałem się już, że zaś będę miał jakieś nieporozumienie z gajowym. Ze zbójcą to się przecie zupełnie inaczej gada.

SARKA-PARKA: Ze mną nie ma żadnego gadania. Wszystko, co żywego spotkam, zabijam, siekam, ćwiartuję i basta. Szybko łęgaj się ze światem, bo nie będę tu przy tobie czasu do wieczora marnować.

MARCIN: Przecie mnie już ręce zabolały. /opuszczając ręce, znów przy tym dmuchnął na wiewiórkę/ Widzisz, dziecko, taka to już kolej na świecie. Chciałem cię posłać na ten świat, a jak się okazuje, sam cię tam za chwilczkę dogonię. Hej, zbójcu, pytam się, czy bym mógł na ciebie popatrzeć, żeby chociaż wiedział jak właściwie wyglądasz ? Cześć, czterdzieści lat po świecie chodzę, ale żywego rozbójnika jeszcze nie oglądałem.

SARKA-PARKA:

Daj sobie z tym lepiej spokój. Kto na mnie jednym okiem spojrzę, okrutny strach zaraz na niego pada i wszystkie włosy stają mu dęba z przerażenia. Kto na mnie obydwojma oczyma spojrzę, temu gęsia skórka wyskakuje na całym ciele i ten już do samej śmierci nie będzie wesoły. A na kogo jeszcze ja sam groźnym okiem spojrzę, ten w tej chwili ze strachu zupełnie rozum traci.

MARCIN:

Poczekaj, poczekaj, zbój. Jakiś to rzekł: okrutny strach zaraz na niego pada? Wiesz co, a jakbyś jednak na ciebie spojrział. Dwadzieścia lat jestem mundur żołnierski nosił, z przeróżnymi wrogami wojowałem, z dzikim zwierzem jestem się potykał, ba, nawet przeciw całemu regimentowi sameluków stałem w pojedynkę, ale strachu, przyjaciele, jeszcze jakim żyw nie zaznałem. Rozbójniku, ja chociaż... chociaż tym jednym oczkiem na ciebie spojrzę. /odwraca się/. Nic z tego. Spojrzałem tylko tym jednym oczkiem i strachu nie czuję. Będę jednak musiał popatrzeć obydwojma oczyma... ba, znów nie. Wiesz, zbój, że nawet gdy dwoma oczyma patrzę, też nie czuję strachu. Nic pozostaje nic innego, jak żebyś do mnie zrobił to groźne oko.

SARKA-PARKA:

/robi zawołowo drobną minę/

Kruciturk basama terentete tuttilawanti pleska twoja niebieska huuu.

MARCIN:

Ale gdzie tam. Nic z tego nie będzie. Umarę a nie będę wiedział co to strach.

SARKA-PARKA: /splunął i włożył pistolety za pas/:

Niech to pieron strzeli, co za jakaś natura. Całą przyjeżdżającą mi zepsużesz. Jakże ja cię mam mordować, kiedy się mnie nie boisz? A już od godziny mógłbyś być młynarzem w Czarcim Młynie.

MARCIN: Młynarzem? Bracie. To by nie było takie złe. Szukają tam może rzemieślnika?

SARKA-PARKA: Diabła tam. To jest taka rudera przy potoku pod królewskim sankiem. Cały dzień stoi ten gruchot cicho, ale między jedenastą a dwunastą w nocy zaczyna turkotać. O tej porze żadna żywa dusza nie może się tam zbliżyć. Diabli zaraz każdego łapią i dopóki to wszystko chodzi musi z nimi grać w diabelskiego marianasa. Kto przegra, tego tam zaraz w ty-m młynie ukatrupią. Dawno już powiedziałam, że powinien tak ktoś raz pójść i zrobić porządek.

MARCIN: Do licha, arcymorderco, ty tam jeszcze nie był?

SARKA-PARKA: A po co bym się do tego wtrącał? Niech sobie to król zakatwi sam. Ja mam swoje zajęcie tutaj i młyn mi niepotrzebny. /Nagle podrywa się i rzuca spojrzenie w głąb lasu/: Ale ja tu sobie z tobą kłachy urządza, a moja robota stoi.

Popatrz tam ścieżką idzie jakiś wystrojony młodzieniec. Temu to ja muszę w mieszkaniu dziuro zrobić. Schowaj się i nie przeszkadzaj mi w pracy.

MARCIN: /przykucnął za małym świerkiem i zaczyna obdzierać wiewiórkę/.

SARKA-FARKA: /chwytła seką, szójecką pałkę i staje w zasadzce/
/Drożyną leśną zbliża się LUCJUSZ w paradyms
stroju myśliwskim/.

LUCJUSZ: /idzie bestrosko przez las, wymachuje lasoczką i
śpiewa/:

Muzyka 1.

Na góreczce w gaju sosnowym, bis
gdzie kęszka jest przyjemna,
stoi sobie chatka mała,
wokół puszcza ciemna.

Pod okienkiem poteczek przepływa, bis
nad nią kwiatki rosną śliczne,
a trzydzieści kroków dalej
zobaczysz kapliczkę.

/Zatrzymuje się i rozgląda dookoła/
Sosny są, /liczy kroki/: dwadzieścia cztery, dwa-
dzieścia pięć... górka też by się jakaś znalazła,
nie to jeszcze nie będzie tutaj. Jedyny adres mi
w domu podali. Wyślą człowieka w niesznane strony
na poszukiwanie jakiegoś omazanego pustelnika i
powiedzą tylko: trzydzieści kroków dalej stoi ka-
pliszka... No i szukaj, Luciu, oczy wypatruj,
rachuj aż do utraty sił, a pustelnika jak nie ma
tak nie ma.

/Dochodzi do Sarki-Farki/.

SARKA-FARKA: /unoszą maczugę nad głowę/
Pieniądze albo życie.

LUCJUSZ: Pfuj, to ci dopiero persządki. Change passe, w tej
chwili zamień mi się, chłopcze, w kamień.

Muzyka 2.

SARKA-FARKA:

/Zastyga w pozycji z parką nad głową naprawdę skamieniały/.

LUCJUSZ:

He, to przynajmniej już coś. Pustelnika nie znalazłem, ale trafikiem chociaż na szója. Ci dwaj powinni mieszkać od siebie niedaleko./Rozgląda się, spostrzega Marcina/. Ale patrzcie. Tutaj jest jeszcze ktoś. Czy pan, panie szanowny, nie jest może pustelnikiem Scholastykiem?

MARCIN:

Odzień tam. Ja młody panie, też zostałem tu napadnięty. Tylko, że ze mną to było gorzej niż z nimi. Na mnie szedł z pistoletem, a na nich tylko z tym patykiem.

LUCJUSZ:

A skąd ta wiewiórka?

MARCIN:

To jest jego trzecia ofiara. Pan, ja i to rudo stworzenie jesteśmy, jak to powiadają, towarzyszami niedoli. Tylko, że ona wyszła na tym wszystkim najgorzej. /Podchodzi do rozbójnika i pociąga go za nos/. Jak Boga kocham, że całkiem skamieniał. Na takie coś to ja mówię: nagle odmalana losu.

LUCJUSZ:

A głazego szcieracieśkórę z tej wiewiórki?

MARCIN:

Bo chcę ją upiec. Żołądek na swoje prawa nawet i u najbiedniejszego wędrowca. Jeżeli nie pogardzą tym, młody panie, to dałbym obgryść kieberko.

LUCJUSZ:

To raczej ja was zaproszę. /Wyciąga serwetę, potrząsa nią/. Czary mary karała pluto abra ka-

dobra - już. /Zjawia się półmisek z pieczenią/.

A co? Podobna się?

Musyka 3.

MARCIN:

Bożycielu ty mój, to ci stuka dopiero. /chwytając pieczone kureczkę/. Odszłobyśmy się to, koguciku tłuszcuchny, spodziewali, że się tu tak wesoło spotkamy. Do krośset kartaczy, od swoich własnych chęrcin nie ja-dłem tak upieczzonego koguta. Przebaczą, że taki śmia-ły, młody panie, ale w której to kuchni tak dobrze warzą, żeby ją jej czasem nie przeoczyć, gdy mnie nogi w świat poniosą.

LUJUSZ:

Powiedziałbym wam, ale strach by was obleciał.

MARCIN:

Strach? Z powodu kuchni? Złotodzióbku ty mój. Zapamiatają sobie, panie, że Marcin Kabat, weteran dra-gonów, jak długo żyje strachu nie zaznał.

LUJUSZ:

No to sobie do tego usiądźcie, żeby się wam kolana nie zaczęły trząść.

MARCIN:

Marcin Kabat zawsze stoi na baczność, to sobie też zapamiatają. Niech zaczynają bez obawy, panie, z tej beczki co trzeba. Gdzie to tak dobrze gotują?

LUJUSZ:

W piekle.

MARCIN:

Oj ty pażo drewniana, przecież mógł zaraz wpaść na to. Gdzieś by to indziej na takie kunsztowne fortele przyszli. Ale u nas to nikt o tym nie powie. Wciąż tylko o tym ogniu piekielnym, ale nikt ci, człowieku nie zdradzi, że się nad nim obracają kureczka i gęski. Jeżeli to z tym ogniem w piekle jest tak, to chyba i z tą szałką nie będzie najgorzej. Powie nam w końcu beczki i miarki w środku palą, żeby napój płoński

od drzewa nie chycik?

LUCJUSZ: Informacjami na ten temat służyć niestety nie mogę. Kto to chce wiedzieć musi się sam przekonać. Do piekła prowadzi przecież droga szeroka i wygodna.

MARCIN: Właśnie się o podobne rzeczy tego kamiennego patrona wypytywał. Stręczył mi jakisik Czarcł Młyn, żeby tam poszedł zagrać w diabelskiego marisza.

LUCJUSZ: Ależ panie dragonie. To jest zupełnie zbyteczne. Po co chodzić do ogona, jeśli można do samej głowy trafić? Na co Czarcł Młyn, jeśli można zająć prostą drogę?...

MARCIN: Dokąd?

LUCJUSZ: /wyjmuje kawałek papieru/
Podpiszcie mi tylko ten oto cyrografik i twoja sprawa załatwiona.

MARCIN: Z tym to będzie ciężko, panie... Ja pisać nie umiem. Chyba żebym trzy kraydyki...

LUCJUSZ: Stoj. Taki znak nie jest wart tam na dole.

MARCIN: Nic na to poradzić nie mogę. Tak to chyba musi zostać po staremu. Żebym tylko te drogi do młyna znał.

LUCJUSZ: To drobnostka, panie dragonie. Jeżeli już nie mogę wam pomóc od razu i na zawaze, to was chociaż popchnę do... celu. Change passe, głowo przemów.

Scena 4.

SARKA-FARKA: /porusza głowę/
Do diabła, całe ciało mi ścierpze.

LUCJUSZ: Mów krótko, zbójcu i do rzeczy, bo inaczej zostawię cię tak tutaj aż do sądnego dnia. Którą drogą do Gzarciego Młyna ?

SARKA-PARKA: Prosto nosa, ty diabelskie niótko.

MARCIN: Zastanów się, rozbójniku, przestań się droczyć, ten pan to czarownik i mogłoby cię to drogo kosztować.

SARKA-PARKA: Dyle powiadam: prosto nosa. Tam za tym laskiem jest pustelnia, a od niej wiedzie już wydeptana ścieżka aż na samo miejsce. Tylko nie przyjdiesz do królewskiego zasku musisz nie wziąć ścieżki na lewo wzdłuż potoka, koło tej starej wierzy przejść przez kładkę, a tam już po prawej ręce będzie młyn.

LUCJUSZ: To to chodźmy, panie dragonie, kawałek drogi pójdziemy razem. Powiedz, że pustelnia jest prosto nosa ?

SARKA-PARKA: Tyle co kamień doleci. Do diabła, a tam ścierpł. Nie mogłbym za chociast usiąść ?

LUCJUSZ: Usiądź sobie. A na drugi raz bądź ostrożniejszy. Chodźmy, panie żołnierzu.

/LUCJUSZ i MARCIN wychodzą, SARKA-PARKA osuwa się gwałtownie na ziemię i słuwa/.

SARKA-PARKA: Diabli mi was dwóch tutaj nadali.

LUCJUSZ: /Odwraca się ze śmiechem/:

Do diabłów pretensji nie miej, bo jeszcze się kiedyś który z nich zjawi, żeby się o nie zapytać.

/Scena obraca się zwolna, LUCJUSZ z MARCINEM idą

przez las dopóki nie ukaże się pustelnia ojca
Scholastyka/.

LUCJUSZ:

Ho to dowidzenia, panie dragonie. I życzę dużo
szczęścia w Czarcim Młynie. Ja także mam tu pewną
sprawę do pustelnika.

MARCIN:

/śmieje się/

Musyka 5.

z tyrografikiem, co ?

/Wychodzi/

- - -

ODSŁONA DRUGA

Pustelnia Ojca Scholastyka z odsłoniętą ścianą przednią dzięki czemu widać pustelnika w typowej pozycji czytającego, zagłębionego w wielkiej księdze. Lewą ręką śliniąc palec przewraca karty, prawą sięga co chwila do małej miski, bierze z niej suszoną szaradę i bezmyślnie ją zjada.

Muzyka.

LUCJUSZ: /przed pustelnią/

O jej, wegetarianin. Czym prędzej rekwizyty.

/Czyni ręką w powietrzu czarodziejski gest/.

Haaa fuje kapre duro piston klejste fukudatum.

/W ręku przejawia mu się półmisek z pieczenią. Puka do drzwi/.

Hej tam, pobożny pustelniku. Jesteś w domu ?

SCHOLASTYK: A gdzie miałbym być ? Trawię czas na modlitwie.

LUCJUSZ: Czy mogę wejść ?

SCHOLASTYK: Wejść, proszę, jeśliś czegoś sprawiedliwy.

LUCJUSZ: /przekracza próg/:

Bądź pozdrowiony, światły męzu i przyjm ten oto dar od mego pana, który sobie ciebie upodobał.

SCHOLASTYK: /podnosi głowę z nad księgi/:

Co to za głupstwa ? /sięga do półmiska, ujmuje kureczkę i wacha ją/. Ha, czuję idący od tego zapach spalenienny, niecałowny znak szatańskich mamideł. Apage satanas.

LUCJUSZ: Czyż zwykła zmiana menu zdolna jest pobudzić cię ojcze,

do tak prostactkich przypuszczeń? Czy to nie zupełnie wszystko jedno, czym sycimy swe grzeszne ciało?

SCHOLASTYK: Wszystko jedno? Nie. A może naprawdę wszystko jedno? Tak. Jadło dopomaga nam przecie do przedłużenia czasu naszej wędrówki po tym padole żoż, a tym samym i czasu naszej pokuty.

LUCJUSZ: Wspaniale to powiedziałaś, czcigodny ojcze. Ale zapomniałaś troszkę przy tym o walce z grzechem. Tak jest, szlachetny neżyt potrzeba nam czynnej walki z grzechem.

SCHOLASTYK: Trzydzieści lat tu na pustkowiu umartwiam swe grzeszne ciało.

LUCJUSZ: Wiem, wiem doskonale, ojcze. Szarańcza, kornzonki i źródłana woda nie biorąc pod uwagę tego chleba niebieskiego, który ci przynoszą anieli.

SCHOLASTYK: Chyba wiesz, że tego chleba jest mało...

LUCJUSZ: No proszę bardzo. Radnie o ciebie dbają ci tam w górze. Gdyby to należało do mojego referatu, musieliby tu aniołowie trzy razy daleknie latać z półmiskami pełnymi smaków. Nie byłbyś tak wyschnięty na szczapę.

SCHOLASTYK: Idź precz szatanie. Po dowie twojej poznaje ktoś szacz.

LUCJUSZ: Ależ uspokój się, ojcze. Powiedz mi proszę, szczerze: czy przy takim wynędznieniu niewasz wogóle jeszcze jakieś pokusy? Wiesz, myślę o tych cielesnych...

SCHOLASTYK: Tych chwala Bogu nie mam. Trzydzieści lat tutaj żyję...

LUCJUSZ: ...chlebem i szarącią. W tym tawli właśnie błąd. Jakże możesz dostąpić świętości. skoro zupełnie o nią nie walczysz ? Porządny pustelnik powinien przemyślać pokusy dziewczędotydziewięć razy w ciągu dnia. Żebyś chociaż miał jakiegoś szyszakowo wiązje.

/W tej chwili z lasu dochodzi niedalekie kobiece wołanie/:

DISPERANDA: OJCZE SCHOLASTYKU, Ojciec Scholastyku.

LUCJUSZ: A to co ? Dziewczepcy głosik, żebyś tak zdrów był.

SCHOLASTYK: Królowna Disperanda. Znikaj stąd, obcy człowieku. I ten piekielny półmisek zabierz stąd do diabła. Masz się czym prędzej utonąć w modkach.

LUCJUSZ: Skosztuj przecież chociaż odrobinę.

SCHOLASTYK: Nie głód. Zbliża się córka naszego najjaśniejszego władcy. Na pewno przychodzi po duchowe pokrzepienie. Bówię ci, znikaj stąd.

LUCJUSZ: Nie zniknę. Ja bardzo lubię takie panny.

SCHOLASTYK: Przeklinam cię w imię Boga.

LUCJUSZ: O, to nieprzyjemne. Wobec tego znikam. /znika razem z półmiskiem/.

muzyka 7.

DISPERANDA: /wybiega z lasu przed pustelnię/
Ojciec Scholastyku.

SCHOLASTYK: /Zatyka dłońmi uszy, przybiera pozycję szczytanego/.

DISPERANDA: /wchodzi/

Znów zatopiony w modlitwach. Ojczy, czy mnie nie widzisz ?

SCHOLASTYK: /Podnosi głowę, ulega zdumieniu/:

Dobre nieba, co za niespodzianka. Czemu zawdzięczaś tak nagle odwiedzin Waszej Miłości ?

DISPERANDA:

Wiesz przecież, ojczy. Potrzebuję pociechy duchowej. Krótka i wązłowata: musisz zajść do nas i pogadać z tatusem... albo nie, lepiej powiedz to naprzód mamusi: ja za tego centkowanego pawiana nie wyjdę i basta.

SCHOLASTYK: O jakim to przedziwnym stworzeniu mówisz, moje dziecko ?

DISPERANDA:

Od razu widać, że się między ludźmi nie obracasz. Nikt z całej służby zamkowej nie powie na niego inaczej... a maza Kasia wynalazła dla niego jeszcze inne określenie....

SCHOLASTYK: Dla kogo ?

DISPERANDA: Dla tego piegatego Romualda.

SCHOLASTYK: Drzę na straszną myśl, że Wasza Miłość mówi o...

DISPERANDA: Zgadłeś, Ojczy. O księciu Romualdzie Transparenckim. Wyobraź sobie, że dzisiaj znów prosił tatusa o moją rękę.

SCHOLASTYK: Przepuszczam, że leżałoby całkowicie w interesie dynastii...

DISPERANDA:

Za nic na świecie. Zauważyłeś ten jego nos ?

A jak mu uszy odstają.

SCHOLASTYK: Ale świątki rozum i wzgląd na publiczne dobro...

DISPERANDA: Co znów za jakieś publiczne dobro? I przez nos mówi, żebyś wiedział. Żaden z moich poddanych nie życzyłby mi, żebyś wychodziła na miasteczko za takiego co mówi przez pługowaty nos.

SCHOLASTYK: Broń mi Panie Doże, żebyś miała Waszą Miłość do czegoś nakłaniać. Ale przecież możesz się, moje dziecko, bardzo łatwo księdzu Romualdowi wykrepić.

DISPERANDA: To jest mądre słowo. Ale jak, kiedy tatuś na nie innego się nie zgodzi?

SCHOLASTYK: Proszę tak, że Wasza Miłość pojmie za męża księcia Izydora.

DISPERANDA: Nie. Nawet gdyby to był ostatni mężczyzna na świecie. Kasia powiada, że Izidor na nieporządek na stryszku.

SCHOLASTYK: Na stryszku...
Jak Wasza Miłość może nakłaniać ucha oszołomów słowem prostej dziewczki.

DISPERANDA: Kasia przypała owo ma się na mężczyznach, wiecie o tym. To powiedzenie jest wprowadzić wściekłość do słownika zwykłego ludu, ale zdaje mi się, że pasuje, jak ułóż. Przecież to garść nad garścią.

SCHOLASTYK: Ale nie o to chodzi. Wasza Miłość. Tu idzie o królestwo, o dynastię, o najjaśniejszy dom nam panujący.

DISPERANDA: No widzisz, o ile rzecz idzie? A o mnie w tym wypadku nawet ani trochę nie chodzi? Bożymu, jak ja tej naszej Kasie tych jej ślicznych zalotników

zaszczęszczę. Wybrał sobie: ta dziewczyna ma co tydzień nowego chłopca.

SCHOLASTYK:

Powstrzymaj te płochę słowa, Wasza Miłość. Kładym z nich ścieżkę sobie drogę do piekła. Przy każdej głębokiej cześci, jaką żywię dla Waszej Miłości, płonę wstydem, ilekroć któreś z nich spłynęło z twoich warg.

DISPERANDA:

Boże. Jaki ty masz skomplikowany sposób wyrażania się. Gdy kogo boli serce tak jak mnie, nie dobiera słów, ale chwytą zawsze pierwsze lepsze - Głaze Scholastyku, ja pragnęłabym mieć chociaż jednego takiego przystojnego chłopca, jak ma nasza Kasia. ~~Też to nasz nie mogę umyć w nosy dręczona tęsknotą aż do świtu wywołując przed oczy wizję takiego~~ ~~siłbiciela~~. Musiałby być taki rosły, raczej brunat niż blondyn, żeby miał oczy błyszczące, ciało żyłaste i muskularne... no, krótko mówiąc, żeby był piękny, piękniejszy od wszystkich narzeczonych Kasi, piękny jak anioł, albo o ile możliwe jeszcze piękniejszy.

SCHOLASTYK:

Biała, Wasza Miłość, biała, to bluźnierstwo.

LUCJUSZ:

/Wyskakuje w tym momencie wprost spod ziemi i natychmiast bardzo familiarnie wtrąca się do rozmowy/: Ależ ci starzy ludzie mają ciasne poglądy, prawda, Wasza Miłość? Wciąż to stryjkowi powtarzam, ale już się chyba w tym punkcie nie potrafimy nawzajem przekonać... Ach pardon, pani, proszę pozwolić, że się przedstawię: Lucjusz, wolny myśliciel i tego oto pana stryja krnąbrny syno-

wiec. Proszę nie zwracać uwagi, jeśli będzie za-
prasał. Pray tym swoim samotniczym trybie życia
zupełnie odrył od kontaktów z rodziną. A moja matu-
sia ulubiona zawsze przecie mówiła: Luciu, stryjku
Scholastyka powołaj, bo on z naszej rodziny najda-
lej zaszedł.

DISPERANDA: Ale pan też szybko mówi. Tak szybko.

LUCJUSZ: To wynika z tego, że szybko myślę.

SCHOLASTYK: Odejdź ty czartowskie nasienie.

LUCJUSZ: Oj i ty cały stryjku Scholastyku. Proszę cię,
jeśli masz ochotę prać brudy rodzinne, zostaw so-
bie to do czasu, gdy będziemy snail. Ale ja propoz.
Gdzie sprzątnąć nasze śniadanko? Wypadłoby,
żebyś poczęstował czymś panie. W lecie całowik
szybko trawi /schyla się pod kółko Scholastyka i
wyczarowuje półmisek z pieczywem/.

Muzyka 7.

Proszę o pani, białanie pierwszaka dobrze opieko-
wane słonkiem będą napewno smakowały.

SCHOLASTYK: Mamidła szatańskie....

LUCJUSZ: Ależ stryjku, chyba nie będziesz się watydzik,
królowia tego przecie nikomu nie powie, że sobie
od czasu do czasu dogadzasz. Proszę więc, Wasza
Młodość, ten kawałek będzie najsmaczniejszy.

DISPERANDA: /bierze z półmiska/

To bajeczny pomysł, panie Lucjuszu....

LUCJUSZ: Proszę śniako, Wasza Młodość... ależ stryjku,
nie oburz się tak, przecie ty też to swoją
szarańczą jesz palcami.

SCHOLASTYK: Pomocie diabelski.

LUCJUSZ: Nie da mi spokoju, to darmo. Widzicie, Wasza Miłkość, takie rzeczy nieważ na talerzu stało. Zależy się, że stryjek za całą moją dobroć najchętniej przepędziłby mnie na ostery wiatry. O widzi pani, już znów na mnie ręce podnosi.

DISPERANDA:

/zatrzymuje podniesioną rękę Scholastyka, który zamierzał widocznie uczynić znak krzyża na Lucjuszu/:

Ależ, ojcze, nie psuj mi radości z miłego spotkania. Już dawno nie rozmawiałam z tak inteligentnym i sympatycznym młodzieńcem.

SCHOLASTYK: Powiadam Wam, Wasza Miłkość, że to piekielnik.

DISPERANDA:

Cicho bądź, ojcze, bo inaczej rozpowie w mieście, jak sobie od czasu do czasu urozmaicasz swój szarańczowy jadłospis.

SCHOLASTYK: No Boga. To nieprawda.

LUCJUSZ: No, wiadomo, że stryjek nie ma już dobrych zabobów, bo to wie pani, starość... Ale szkoda! kurpatewici przecież nie odmówią, prawda, stryjkowi? W gazety tygodniowo zjadł chyba ze trzy... no, nie lekaj się, królowna to o nie zdradzi.

DISPERANDA:

Przeciwnie, stryjkowi. Cieszę się, że poznałam cię także z tej...bardziej ludzkiej strony. Zaraz wyłożę ci się znacznie bardziej sympatyczny.

SCHOLASTYK: Jak Bóg na niebie, trzydzieści lat tutaj krom szarańczy i korzonków...

LUCJUSZ:

No tak, w piątek. To zupełnie co innego.
W piątek stryj zachowuje post, nawet co tłustszy
korsonek odrzuca... ale na przykład w niedzielę
przeciwnie, da sobie ducha, że aż ... no, starus-
ku, tylko się nie słoń, kaścy z nas na jakąś
szabostkę...

SCHOLASTYK:

/ohryta moment, kiedy DISPERANDA patrzy w bok,
czyżby podnosi rękę w stronę Lucjusza i mówi powo-
li wielkim głosem/:
Ego te per summum Deum obsecro.

Humyka 3.

LUCJUSZ:

/pragnie uczynić gest obronny, ale w tej samej
chwili znika wraz z późniejszym/

DISPERANDA:

Już znów coś masz przeciw temu niemu młodemu
oszołotowi? /widzi, że Lucjusz znikł/.
Gdzie pan Lucjusz?

SCHOLASTYK:

Narazicie w piekle.

DISPERANDA:

Proszam cię przeciec, żebyś mi nie robił przy-
krości. Wiedz, że się na ciebie gniewam, ojcze.
/biegnie do drzwi i woła w las/: Lucjusz. Panie
Lucjusz.

SCHOLASTYK:

Najjaśniejsza pani, muszę ci wyjaśnić...

DISPERANDA:

Niczego mi nie wyjaśniaj. Gdyby to był ten nie-
słodny Romuald, napewno był go nie wypuszczał.
Dokąd poszedł Lucjusz?

SCHOLASTYK:

Do piekła.

DISPERANDA:

A ja go sobie i bez ciebie znajdę.
/biegnie w las i woła/: Lucjusz.

SCHOLASTYK:

He, to dopiero będzie wstyd, jeśli to po lu-
dziach roznieście. I za nic. Zaprawdę za nic.
/trząska drzwiami pustelni/.

Musyka 7.

ODSEONA TRZECIA

W lesie niedaleko pustelni ojca Scholastyka.

Kasia, służebna królowy, siedzi na trawie, a lera
wokół siebie jagody i śpiewa.

Musyka to - Taniec - śpiew.

KASIA:

Z tej górnej gospody
muzyczka nas wabi
trza się pójść popatrzeć
kto się tam tak bawi.

Tańcują myśliwi,
kubaty zielone,
kapelusze szyte
i złote galony.

Kubaty in daża
dzisiaj pani nasza,
by sarny szukali
dla króla Matiasza.

/Naraz przestaje śpiewać, na pół z płaczem, na pół
ze złością/:

Ja głupia dziewczyna myśliwca se wypatruje, jakby to
nie wiem co było, a to swyczajna hołota, nie żadne
zalotniki. Jeden z drugim patrzy tylko, żeby uciec
dziewczynę bez wianka zostawić, pokocha trochę i zo-
stawia jakby nigdy nie. Wczoraj jeszcze: Kasienko to,
Kasienko tanto, a dzisiaj go już widzę jak te głupia
Andulę ściska, oblizuje, poklepuje. Wszyscy oni tacy
sami, każdy od całowania, od obiecywania, ale jak
przychodzi do żeniaczki, to ni ma żadnego. Strach,
jakże bych się chciała wydać. Temu najczarniejszemu
z diabłów bych dusze sprzedała, żeby tylko wreszcie

tego chłopca dostać. Nie musi być sprytny, żeby
jeno był piękny, a najważniejsze, żeby z biedną
dziewczyną uczciwie się poczynał.

LUCJUSZ: /objawia się nagle przed Kasią/

Musyka II.

Bixum fixum terafixum, jestem Kasieńko, jak na
zawołanie.

KASIA: Tfu, ale żech się złókła. Myślałam, że to ten
z rogami, a to tymczasem jakisik śpik myśliwski...
Skądś się tu wzięło, ty pięknie nieopierzona ?

LUCJUSZ: Wypadłem z gniazda, nie widzicie ?

KASIA: Po prawdziwie skrzydełek to jeszcze nima, ale języ-
czek to ma już pięknie na ostro przycięty. Czego
ludzi straszysz, myśliwcze.

LUCJUSZ: Ja nie jestem myśliwiec, jestem czarł.

KASIA: Już bych wolała czarł. Przynajmniej bych mi mogła
rzecł względem chłopca.

LUCJUSZ: Zechciejcie tylko wyjawicł swe życzenie. Jaki ma
być, proszę ? Posiadamy na składzie wszystkie ga-
tunki męszów: brunetów, blondynów i rudych, tęgich
i chudych, łysych, barczystych i słabouszów, sprycie-
rzy i głupeków, skąpców, marnotrawców i oszustów,
Ma to być trębacz, ślusarz, czy tasienkarz ?

KASIA: Bożycielu, ten ci gęba młodo. Jeżeli o mnie chodzi,
wolałabych włosatego niż łysogo. Ale jeżeli łysi
z biednymi dziewczynami uczciwiej sobie poczynają
niż ci z włosami, może mieć głowę jak kolano. Ale
co mi z tego wszystkiego, kiedy ni ma tu czarł,
co by mi to życzenie spełnił.

LUCJUSZ: No a ja to co ?

KASIA: Ty jesteś pyskacz, żgarz, a nie żaden czart.

LUCJUSZ: /zdejmuje kapelusz/

No to dotknijcie tutaj, co to jest ? Wygląda to może jakby mi matka wałkiem natłukła ?

KASIA: /obmacuje mu głowę/

Żebych tak zdrowa była, ten śpik na prawdziwe rogi.
No cóż teraz inaczej będziemy śpisać.

/Wtem odzywa się niedalekie wołanie Disperandy:/

Disperanda: Lucjusz. Lucjusz.

KASIA: Co to ? Zdało mi się, że to głos naszej królowy, ale dlaczego by wołała "Lucjusz" kiedy mnie Katarzyna na imię ?

LUCJUSZ: Co wam w głowie Kasieńko. To bezleśbub - diabelska babka mnie szuka. Szybko schowajcie się w krzakach, babcia bardzo nie lubi, gdy chodzę z dziewczętami.
/Wypycha Kasię ze sceny, sam wraca i biegnie na środek sceny/

~~Babcin, poradź jak nas z tego wybawić ? Kasia już jest o krok od piekła, a Disperandzie brakuje tylko kawałek, że kamieniem do rzuci!~~

GŁOS
DISPERANDY: z prawej:
Lucjusz, hej Lucjusz.

GŁOS
KASI : z lewej:
Hej ty diable rogaty, kajdaś wlasz ?

LUCJUSZ: No i co tu robić wpierv ? Ale żebyś się, Luciu, miał rozzerwać i rozdwoić, musisz te damy jednocześnie obakrzyć. Trembolante mordomaro, chyba się rozdwoje.

/Rozdwaja się na dwóch bliźniaczo podobnych Lucjuszów. Lucjusz I biegnie w kierunku Disperandy, Lucjusz II w drugą stronę do Kasi/.

DISPERANDA:

/Wybiega z lewa i na skraju sceny zderza się z Lucjuszem I/.

Nareszcie. Gdzie pan tak nagle znikł, Panie Lucjuszu?

LUCJUSZ:

Wasza Miłość szukała mnie?

DISPERANDA:

Tak... To jest nie, coś panu do głowy wpadło?
Szukam Kasi, żeby pan wiedział. Chciałam ją w lesie zostawić, bo ojciec Scholastyk jej nie lubi.

LUCJUSZ:

Stryjaszek to wogóle przekorna sztuka, prawda?
Nie nawyzyłaś od plekiełników, a Waszej Miłości tak w głowie zamęlił, że szuka Kasi, a woła Lucjusza.
To znaczy, że Wasza Miłość nie słyszyła sobie wogóle ze mną rozmawiać?

DISPERANDA:

Nie. To znaczy tak. A właśnie, że chciałam.
Panie Luciu, ja jestem taka nieszczęśliwa, że już nawet sama nie wiem, czego mam chcieć a czego nie...

LUCJUSZ I:

Wiem, wiem, w domu napędzają Waszą Miłość do małżeństwa, Prawda?

DISPERANDA:

Oczywiście do małżeństwa. Ja bym się nawet chętnie za męża przeszła...

LUCJUSZ I:

Ale z kandydatami na męża kłopot, co?

DISPERANDA:

Skąd pan to wie?

LUCJUSZ I:

Ja wiem wszystko. Ma pani rację broniąc się. Ten Romuald naprawdę śmiechu wart.

DISPERANDA:

A Isydor może lepszy? Err. O ja nieszczęśliwa.
Czy nie znajdzie się dla mnie jakiś bardziej odpowiedni mąż?

LUCJUSZ I :

Taki rosły...

DISPERANDA:

Żeby miał błyszczące oczy...

LUCJUSZ I:

Ciało sylaste i masykularne ...

DISPERANDA:

Panie Luciu, niech mi pan serca nie rani, bo ucieknę od pana. A w ogóle: gdzie jest Kasia ? Niech mi pan pomoże jej szukać.

/Obydwoje odchodzą w prawo/

/Ledwie znikną, z prawej strony wybiega Kasia/, obok niej Lucjusz II/.

KASIA:

Muszę, jasda, czarcie szukać. Gdzie się ta królowna nogła podziała ? Ale poczekajno. Jakiś to z tym chłopem powiadał ? Prawdziwego chłopca mi spatrzyysz ? Przed weselem się nie urwie ?

LUCJUSZ II:

Co by się tam urywał. Nowy nie ma. Pójdzie pod pantofel jak wół na rzeź... ale co mówię: gdzie tam na rzeź. Rozpedzi się jak do najsoczystszej koniesyny, będzie drżał cały, żeby Kasienka mu nie uciekła.

KASIA:

A czego za to chcesz czarcie ?

LUCJUSZ II:

Niczego. Podpiszcie tylko ten papiererek a natychmiast zjawi się pan młody.

KASIA:

Podpisać ?

LUCJUSZ II:

Jeszcze drobnostka: Własną krwią.

KASIA:

Aha. W tym coś jest. Żadnego podpisywania nie będzie, lepiej pójdę szukać królowy. Twoja gadanina głowy nie będę sobie zawracała.
/Wybiegają w lewo/

/Z lewej strony wybiega Lucjusz I z DISPERANDA/

LUCJUSZ I:

Ale ważna Niłość w tym szukaniu ze złego końca zaczyna.

DISPERANDA: W jakim szukaniu ? Myśli pan o Kasi ?

LUCJUSZ I: Gdzie tam. O mężu. Kiedy ja szukam żadnej panny, to się z tym nigdy do pustelnika nie zwracam.

DISPERANDA: A jak pan to robi, panie Luciu ?

LUCJUSZ I: Wasza Miłość się ze mnie wyśmiewa...

DISPERANDA: Jakże pan może przypuścić coś podobnego, panie Lucjuszu. Pan mi się od samego początku wydawał sympatyczny...taki miły...

LUCJUSZ I: Ale Wasza Miłość jednak się ze mnie wyśmiewa. Ja także jestem przesądny...

DISPERANDA: Ja też. Co pan robi, gdy ujrzy pan czarnego kota ?

LUCJUSZ I: Popluję. A gdy spotkam kominiarza....

DISPERANDA: Chwytam się za guzik. A gdy przejeżdża fura z sianem ...

LUCJUSZ I : Uściskuję sobie gardło na szczęście. Ale z tego mojego przesądu, jednak będzie się pani śmiała. To taki zupełnie niewinny i głupi syyliwski zabobon.

DISPERANDA: O, myśliwi to umieją postępować z kobietami. Kasia mówiła. Wlecz mi pan to powie.

LUCJUSZ I: No, dobrze. Ustępuje pod naciskiem. Więc proszę słuchać: bierze się kawałek papieru i na tym papierku wypisuje się dokładnie i szczegółowo jak powinien ten mąż wyglądać...

DISPERANDA: Umie m to już na pamięć.

LUCJUSZ I: No widzi pani, a potem już tylko poprostu podpisać i basta.

DISPERANDA: I to wszystko ?

LUCJUSZ I: Jeszcze drobnostka. Podpisać trzeba własną krwią.

DISPERANDA: Ojej, to będzie bolało.

LUCJUSZ I: Ależ wystarczy tylko małe ukłucie.

DISPERANDA: No i co potem ?

LUCJUSZ I: Potem już nie. Chyba tylko tyle, że musiałaby to pani zanieść przed jedenastą w nocy do Czarciego Młyna...

DISPERANDA: Ależ tam straszy.

LUCJUSZ I: Bajki. Przecież nie będzie pani wierzyła przesądom.

DISPERANDA: To nie są bajki panie Lucjuszu, wszyscy dobrze wiedzą, że w młynie między 11 - 12 w nocy, koło zaczyna się obracać. Wyskakują straszne diabły w przebraniu młynarzy i kapią śniaków co im się na oczy pokażą. Już niejednego odważnego chłopca zgubił tam duszę albo postrządzał rozum.

/Oboje wychodzą w prawo. Z prawej natychmiast wchodzi Lucjusz II z Kasią/

KASIA: No jak tak, to ja bym to podpisała. Jeno, że ja ci, mój miły, słodziutki, nie wierzę. Rogi wprowadzić masz, ale po za tym to jesteś takie czarci szeszenie.

LUCJUSZ II: To ja wam poślę starszego kolegę. Albo wiecie co ? Zanieście ten paperek do Czarciego Młyna, tam przychodzi sam Lucyfer. I jutro już możecie mieć zapowiedzi.

KASIA: Zapowiedzi ? Wszystkie trzy naraz ?

LUCJUSZ II: Wszystkie trzy, żeby nie przewlekać.

KASIA: Nie to dobrze. Dzisiaj to tam zanieś. A teraz znajdź mi królową.

LUCJUSZ II: Wącham i czuję, że jest blisko. Aha. Tam za tą kępą drzew. Zawołajcie na nią, a ja zniknę, żeby nas razem nie widziała. /Znika/

KASIA: Waa asza Mikocodé.

DISPERANDA: /Wybiega z lasu sama/
Odzież to, Kasiu, latała ?

KASIA: Idziebko zech się tam oto z jedną starą babką zaga-
dała. Dowiedziałaś się moc pożytecznych rzeczy.
Starzy ludzie mają rozum...

DISPERANDA: Widzisz, ja zawsze to samo mówiłam. Ojciec Scholas-
tyk, jeśli idzie o dobrą radę, też nie jest do po-
gardzenia.

KASIA: Poradził pani ten stary grayb coś mądrego ?

DISPERANDA: Poradził: Mam wziąć kawałek papieru....

KASIA: A to ci dopiero. Ja także...

DISPERANDA: I mam napisać jakiego męża sobie życzę...

KASIA: Własną krwią, co ?

DISPERANDA: Kasiu. Tyś podejrzliwa.

KASIA: Żebych tak zdrowa była, że nie. Niech mnie ziemia
pochłonie. jeżeli tak. A jak mi jeszcze powiedzą,
że trzeba to odnieść...

DISPERANDA: Do młyna...

KASIA: Do Czarciego.

DISPERANDA:

Kasiu. Mów zaraz prawdę. Kto ci to powiedział ?

KASIA:

Dyć ja mówię, mądra babka. A ja kto ?

DISPERANDA:

No przecież ... pustelnik. Ale Kasiu, co to będzie, bo tam w tym młynie straszy ?

KASIA:

Chupstwo. Pare starych czartów nie może mi przecie w weselu przeszkodzić. Chciałabym wiedzieć, kto by się to poważał ubogiej dziewczynie szczęście zepsuć.

Muzyka lo. Taniec.

Kurtyna wolno.

- - -

ODSŁONA CZWARTA
=====

Czarek Młyn. Pół roszalona rudera, z której widzimy przez przednią ścianą izbę przemysłową i poddasze ponad nią. W izbie za stołem siedzi MARCIN KAHAT, nad nim na poddaszu drzewią na ławach dwa wielkie diable, OMNIMOR i KARBORUND, pod których opieką znajduje się ta instytucja. Przed młynem fragment lasistego krajobrazu z pół zarodniętą ścieżką.

Muzyka 13.

MARCIN: /siedzi za stołem, nabija fajkę/

Chcesz, dziewczyno, wiedzieć
jaki jest mój dom ?
Pod szerokim niebem
to dalekie pole,
oto jest mój dom.

Chcesz dziewczyno wiedzieć
jaka strawa na ?
Dobra pieczeń konaka
i woda dumajska,
oto strawa na.

/odehrzaknął, zapalił fajkę/

Tak, tak, bywało... konaka pieczeń. A ja głupiec skirz tego czarta tom nawet te wiewiórke w lesie zapomniał. Tym porządkiem rzeczy pójdzie się dzisiaj spać bez wieszczy. Za to jutro możesz, bracie wetawać bez śniadania, żeby przypadkiem w tym sposobie wyżywienia jakiś galimatias nie zaszedł. Hola, poczekaj, Marcinie, nie narzekaj. Może przecie diabli przyjdą, żeby biednego wędrowca jakimś kąsem obdarować. Ludzie mi nie dali, chociaż żem prosił i prosił. Może z czar-

tani mi się lepiej powiedzie, oni może będą mieli
miększe serca niż ludzie.

/Pogwizduje cicho, rozkłada przy tym płaszcz, przy-
gotowuje na kawie posłanie, kładzie się i lekko pyka-
jąc fajkę/.

/Na górze na poddaszu robi się jasno, zjawia się
LUCJUSZ, wrzaca OMNIMORA i KORBORUNDA z zaw, na któ-
rych spali/.

Musyka 14.

LUCJUSZ: Wstawajcie, zapleśniała hołota diabelska, będziemy
mieć odwiedziny. Onaj durman fare, przecież ty tu
chłopi, żywcem zgnijecie.

OMNIMOR: Aaaa...ccccó tty zasa jeden ? Przychodzisz nemoże nna
kkontrol ? Ddyé jjeszcze wczas, jeszcze się nie sstra-
czy. Ddopiro żed jejedenastej.

LUCJUSZ: Nie jestem żaden kontroler, ty jakeżo ścierdzący,
jestem pan Lucjusz, diabeł pierwszej kategorii.
Zeszłego roku ukończyłem z odznaczeniem akademię
diabelską. A teraz prowadzę eksport, import, roboty
misterne i eleganckie.

KORBORUND: No to macie tam teras w piekło dużo nowego. Za na-
szych młodych lat nie bywało tam żadnych jakisich
akademijów, zwyczajnie nas wypchnęli na świat i rzekli:
kuś ludzi i gotowe. Ale jakeście, panoczku z pierwszej
kategorii, to kłaniam się pilnie. Ty som jony głupie
wsiowskie diabły.

LUCJUSZ: Nie babraćbym się też z wami, chamy wyleniłe, gdy-
bym tu swojej robótki nie miał. Dzisiejszej nocy
czekam na trzy numery.

OMNIMOR: Oooo ooo tto, tto szaf ni. Tu jjest masz rerewir.

LUCJUSZ: Stul pysk, durniu. Zamówiłem tu sobie dwie ładne
dasiowczynki, jedna delikatna jak kwiatusek, druga
trochę bardziej jedrna w sobie, ale obie wymagają
misternego opracowania. Na widok twojego śmierdzą-
cego łba wzięłyby nogi za pas.

KARBORUND: Tu u nas bab się nie uwodzi, my tego ni ~~my~~ radzi.
Tutaj się od dawien dawna straszy a także gra się
w diabelskiego mariaża. Bab nam tutaj nie ścigaj.

LUCJUSZ: Ciekaw jestem, ile ściecie też tu tym mariażem wy-
grali duszyczek, wykpiętosze. No, pochwalcie się,
jaki macie obrót ?

KARBORUND: Tylko się nie śmiejele, panocsku. Pamiętaj, jak my
to dostali wtedy tego młynarczyka ? Che-che-che, ta-
my se z nim pohulali.

OMNIMOR: Żon powieśa że kontra. Aa jja mi rna tto szaf
rtre.

LUCJUSZ: A że śmien spytać, - kiedy to było ?

OMNIMOR: Nnie ddawno...całkiem niedawno...

KARBORUND: No kiedyś by. Gdzieś koło tej wojny, co trzydziści
lat trwała.

LUCJUSZ: No, muszę powiedzieć doktorowi Solfernowi, jakich
suchów ma w tej filii. A żebyście wiedzieli, że
karcierza wam też przywiodłem. Tego wam zostawię,
żebyście nie mówili, że jestem chytry i nieżyczliwy.

OMNIMOR: Aa jjakiego gra ? Zzzz wywybieraniem czechy licy-
tacji ?

LUCJUSZ: Tego to ja już nie wiem, mój ty złotousty, myśmy się w akademii uczyli ważniejszych rzeczy niż marino.

/Tymczasem MARCIN, który podrzemywał na dole, ocknął się, usiadł i kichnął/

Musyka

MARCIN: Apatk. Ojej, zda mi się, że choróbko się na mnie bierze. Praydażoby się tu choć troszeczkę tych ogni piekielnych, żeby eszowiek w nogi nie marzał.

LUCJUSZ: Oho. Marcin już jest chyba tutaj. Macie tu gdzie jaką szparę do podglądania ?

KARBORUND: Tutaj.
/Odkrywa otwór/

LUCJUSZ: /Spogląda przez otwór potem znów go zakrywa/
Tak to on. Tego wam oddam. Ale, chłopie, ja: si go do piekła nie dostaciecie, to nie życzę wam tego sambarasu, jaki wam w dyrekcji urządzę.

OMNIMOR: Nanie niejcie strachu. Jija nam ppewne karty.

KARBORUND: My na każdej karcie mamy znaczek, nam uciec nie może.

LUCJUSZ: Ale tyś kobietani ja zajmę się sam. Która godzina ?

OMNIMOR: /bierze z kawy starożytny budzik/
Dziesiąta.

LUCJUSZ: No to mamy jeszcze godzinkę czasu.

OMNIMOR: /włazi na kawy/
Jija się jjeszcze oodrobinkę sdrzeszme.

LUCJUSZ: /wrzuca go z kawy/
Marz stąd, parazywce, tu położy się pan lu-

cjusze. Wład gdzieś pod ławę ty śmierdzieliu. Ale czy nie zasypimy ?

KARBOUNID: Ni ma strachu. Budaik jest nastawiony.
/Wszystkie trzy diabły zasypiają/

MARCIN: /Otrzęsnął się ze snu, siada/

Muzyka

Coś mi się zdaje, że to diabełskie nasienie nie nadchodzi. Pójdę do młyna. Co robić, zakurze się jeszcze, to dobrze robi na głodny żołądek.

/W lesie przed młynem pojawia się KASIA, za nią królewna DISPERANDA/.

KASIA: *Uśmiech, śmiech*
Idą, idą, Wasza Miłość, a nie się nie boję. Tu ni ma ani żywej duszy. A gdyby nawet ktoś na nas wyskoczył, to go tak mocno tą latarnią bez kłapaczki, że się tylko obliźnie.

DISPERANDA: Oj, Kasiu, kiedy ja się jednak boję...Ja ci się przyznam: mnie tu wcale nie ojciec Scholastyk posłał...

KASIA: Tego mi nie musi Wasza Miłość tłumaczyć. Ten pustelnicki drzyżdż nie zdobyłby się na taki chytry i skuteczny pomysł. Ale niech to będzie kto chce, kto was posłał, już my są tu i do domu z niczym nie pójdziemy.

DISPERANDA: A co będzie, jeśli będziemy mieć z tego jakieś przykrości.

KASIA: Jakże tam znów przykrości ? Tego przecież młodemu, pięknym dziewczynom nikt za złe wziąć nie może, że chcą się przed ołtarz dostać. Taka już przyrodzona kolej na świecie, że się te ładne wydają, a te szkodliwe zostają na ocet. A my dwie, my są przecież piękne dziewczyny, nie ?

DIEPERANDA:

Chyba... Ale Kasiu, ja tam do środka jednak nie wejść. Ja bym lepiej na siebie tutaj poczekała...

KASIA:

A czekają se tu z Panem Bogiem, kiedy se myśla, że im tu będzie lepiej. Ale daję ci swój paperek, połóż go we młynie na stole wedle swego.

DIEPERANDA:

/oddaje Kasi papier/

Masz... albo może lepiej nie... Kasiu, proszę cię, wróćmy się dopóki nie jest za późno.

KASIA:

Głupoty mówią.

Muzyka

MARCIN:

/biegnie do młyna i puka do drzwi izby/

/w środku srywa się, chwytając laskę do ręki/

Marcinie. Diabły idą. Bier kostur do garści i zobaczmy, kto tu lepszy.

Muzyka.

KASIA:

/puka jeszcze raz, potem wchodzi/

MARCIN:

A niech to kule biją, to ci dopiero odwiedziny. Tylko bliżej, panienko, bliżej, nieśnego się nie bój, ptaszyno.

KASIA:

Przebaczą, ale ja też tu przyszłam wedle tej prośby o męś.

MARCIN:

Przyszła ci na męś ochota? No to się i nie dziwie, taki kwiatuśzek rozkwitnięty to aż się prosi, żeby go już jakiś porządny chłop zerwał.

KASIA:

Ja chce podać, wiedzą, pisemnie prośbę względem tego, czy tam jak ego chłopca dla mnie nie mają...

MARCIN:

A głybym tak ja? Jak ci się podobam, turkaweczko?

KASIA: Diabła tam...O, przebaczą, ja też tak tego nie myślała. Wiedzą, żech spotkała tego gotowasa, Inojusza i on mnie namówił, żebym do was to prośbę podała. Inojuszowi to ja nie wierzę, bo to jeszcze takie żrebie niewybrykane, ale oni to są porządny, siwy, stary diabeł, do nich to całowiek może mieć zaufanie...

MARCIN: A ty sojko jedna. Stary siwy diabeł. No, ale jaki tam jestem, taki jestem, co robić. Ale jakiego byś to może chciała, sikorkę?

KASIA: Ja też nie jest ani turkawka, ani sojka, ani sikorka, Kasia jestem, żebyście wiedzieli. A chcia- żebych jakiegoś porządnego chłopca, żeby dużo nie pił i w karty nie grał.

MARCIN: A gdzie masz to pismo?

KASIA: Tu jest. Może zechcesz to przegłębąć, czy w tym jakich błędów ni ma.

MARCIN: /bierze papier:/
Toś czerwonym atramentem pisała?

KASIA: Ale gdzieś tam. To własną krwią pisane. Przecie też se cały łokieć rozkrwawiła. Ale, żebych nie zapomniała. Tu jest jeszcze jedno pisanie, od naszej królowy.

MARCIN: /przegląda drugi papier/
Patrzcie, królowna Diaperanda także.
/włada obydwie listy do kieszeni/
No dobrze, szulko, to już jest załatwione.
Nasów badaciecie mieć jak złoto. A teraz idź pięknie, ładnie do domu i królownie powiedz, że

jej całusa posyłam.

KASIA: Boś pokornie panie diabeł całuje.
/wybiega z izby/

Musyka.

MARGIN: Oj głupie gosi. Macie szczepoście, żeście na Marcina
trafiły. Tego waszego pisanie diabeł do łapy nie
dostanie, czegoś takiego ja na swoje sumienie nie
wezmę.
/Kasia sbiegła już na dół do królowny. W tej samej
chwili słyszyna dzwonić budzik. KARBORUND krywa się,
puszcza w ruch mechanizm, w całym młynie rozlega
się piekielny hałas/. hałas.

Musyka 2o.

KASIA: Panie Boże ratuj, idź przez czarcie, przedko Wasza
Młodość, gdzieście są. Uciekajmy stąd, diabli nam na
karkach siedzą.

/Kasia z DISPERANDĄ uciekają ze sceny/.

MARGIN: /chwytając laskę i staje w pozycji obronnej/.

LUCJUSZ: /ludzi się, zeskakuje z ławy/
Co się tu dzieje ?

KARBORUND: Puściliśmy hałas, trzeba straszyć, jest przecie je-
denasta.

LUCJUSZ: Zatrzymaj to, nie można własnego słowa usłyszeć.

KARBORUND: /zatrzymuje/

Ja przy marianu także wolę spokój.

MARGIN: /na dole/

To ci było hałasu, jakby się piekło waliło, a na raz
koniec i zaś cichusko, jak w kościele. Jeżeli toto
jest ich cały fortel i stuka, czuję, że się w tym

młynie na dobre urządze. /siada/.

OMNIMOR: /wytazł spod ławy/
Pppójdziomy nna tego mamiarasska ?

LUCJUSZ: Przeklęta sprawa. Przespatek te dwie kuropatwy.

KARBORUND: Omnimor, masz karty ? Weś woreczek dukatów, ja
biere drugi i jada.

Muzyka.

/OMNIMOR i KARBORUND otwierają klapy i wleką się
do izby wprost przed Marcina/.

KARBORUND: me - me Err rachochacha ludka mijaaj, robaku
ziemski, wybija twoja ostatnia godzina.
/Biega dokoła Marcina, porzuca i młaska językiem/.

OMNIMOR: Lilpiej szapytaj go ssie, czy umie grać w mami-
riasska.

KARBORUND: Dawaj dusze, biedny chłopie.

MARCIN: Pocałuj mnie gdzieś... głupek kołtuniasty. Ja z
tobą na dusze żadnego kontraktu ni mam. Dusza
jest od Pana Boga i ten niech sobie z nią robi
co mu się podoba... A jak ty mi po nią łape wy-
ciągniesz, to cię tak mdzielo łagą przez łeb, że
nawet cie raz w swym parawymy łyciu anielskie
głosy usłyszysz.

OMNIMOR: Knie pso złodei, wielmożny ppanie, my by szepita-
dzi zagrali w ma ma... mamiarasska.

MARCIN: Co się mamiarasska tyczy, nie mam nic przeciw temu.
Ale niech ten mamiarass wolew przestanie z tym mias-
kanem i beczaniem.

OMNIMOR: /szybko rozrzuca karty/
Mamiarass daje./siada przy stole/

- KARBORUND: /również szybko siada/
Ale o co będziemy grać? Co wielmożny pan może włożyć do gry?
- MARCIN: Nie więcej, jak tylko swój honor, wy Kapserdaki.
A to nie jest wcale mało. Zapytaj się tylko gdzie chcesz na świecie o Marcina Kabaty, a wszędzie ci rzekną, co to był za junak.
- KARBORUND: Chacha, honor to mało, na to się nie szakomi nawet najgłupszy diabeł.
/Iacjusz leży na poddaszu i przez klapę patrzy w dół obserwując sytuację/.
- OMNIMOR: Rzekłem już, że ma-ma-mała daje.
- KARBORUND: A co gdyby my tak o duszyczkę zagrali?
- MARCIN: Powiedziakem ci już, ty Zachmaniarzu, że ci od mojej duszy wara.
- KARBORUND: No to będzie ciężko. O coś się grać musi.
- MARCIN: To mi pożyczcie kilka szóstek do gry.
- KARBORUND: Wyście zgłupieli, człowieku.
- OMNIMOR: /coraz bardziej zniecierpliwiony/
Mmmmała oddaje.
- MARCIN: Nie z tego. Nie będzie grania. Ja pieniędzy ni mam, a wy mi pożyczycie nie chcecie. Zbierajcie manatki i jazda dalej. Ide spać.
- OMNIMOR: Karborund, posłuchaj, pożyczymy ci ppapare szóstek.
- KARBORUND: No tak, a ten drań z pierwszej kategorii naszczeka na nas w piekle i będziemy wisieć.
- OMNIMOR: Tto jja mi ze swego po-pe-pożyczę. Przecprzeciem ttak długo w ma-ma-mariaszka nie grał. Ma-macie

tu, panie Ka-Kabat i nie za-zatrzymujcie gry.

MARCIN: /przesuwa sobie kilka dukatów, bierze karty i ogląda je/: A to znów co, szwindlarze zatracone ? /pokazuje brzeg karty/.

KARBORUND: To jedna trochę naddarta.

MARCIN: Ja ci dam naddarta. Znaczone są. Takimi nie gram. /rzuca karty na ziemię, wyciąga własną talię/. Tymi będziemy grać, te są uczciwe. Kościecie się przypatrzyć, czy im co brakuje.

KARBORUND: Ja tymi nie gram.

OMNIMOR: Ka-ka-kamracie, chochociał trzy razy w kółko.

KARBORUND: No, dobra, ja daję. /rozdaje karty/

MARCIN: /zapowiada kolor/.

KARBORUND
i OMNIMOR: dobra.

MARCIN: Siedem czerwieni.

OMNIMOR: Tto są droższe.

KARBORUND: Konto jak drut.

MARCIN: Na grę i na siedem ? Dej se pozór, diabełku, żebyś się nie przeliczył. Jasna. /Zagrywa, lewa jego, druga także, zagrywa po raz trzeci/.

OMNIMOR: Chocholera, tto nie dobrze muszą trumfa./rzuca atuta, lewa Omnimora, który z kolei zagrywa/. Aaaa co tty na to ?

MARCIN: Takich mam na kopy i każdą inną./bierze lewą/ A teraz się trzymaj, czarci synu, bo cię pod zebro pomagam/. zagrywa/

OMNIMOR: Popsia krew, ttrzeba mi byżo lepiej po-poczekać.
/lewe bierze Marcin/

MARCIN: To ci wszystko jedno, nieponiu, i tak wpadniesz.
/zagrywa/. No a teraz wyład z tą drugą, lucyperowy
stryjku.

OMNIMOR: Tty graasz ba-bardzo żo-żostro...
/lewa Karborunda, który zagrywa/.

MARCIN: Na grzybki z tya. Takie śmalcie pod stół rzucasz.
Tromf./zbiiera lewe, zagrywa/ I zaś tromf osterdziesięci.

KARBORUND: /do Omnimora/:
Graasz, jakbyś spał.
/Gra toczy się dalej /

OMNIMOR: Ebbom już z wprawy wy-wyszędź.

MARCIN: Bęc go. To jest ta siódma. Gdzie masz te kontre,
utrzymosie ?

KARBORUND: /rzuca ostatnie karty/:
Bo ten Omnior gra jakby spał.

MARCIN: /zgarbia karty, liczy/:
osterdziesięci, pięddziesiąt...szędć, siedem, osiem...
co przyjaciele, jest tego równo sto. O. Tu jest jesz-
cze dziesiątka, to będzie stedsziesięć. Jej, jej, baran-
kowie, to będzie drogo kosztowało. Zwyczajna gra po
dukacilaj, czerwien jest droższa, sto dwa razy tyle,
dziesięć więcej liczy się za sto, zgłoszone siedem
zrobione, konterka dwa razy tyle. Krótke wiśkowato.
Dosta ne od każdego po trzydziesięci sześć dukatów, że-
byn miał czym grać.

LUCJUSZ: /na górze zakamuje ręce/
Hama fuje kapro duro, jeśli ci oberwańcy będą dalej

tak grali, przywiodą piekło do bankructwa.
Kłocz karszący piekiel, wzywam cię doktorze Sol-
fernusie, mistrzu nad mistrze, Magnificentissime,
przybądź w całym blasku swej mądrości i zaradź nam
spadnie hańba.

MARCIN: /zgarnął wygraną i rozdaje karty do nowej gry/.

OMNIMOR: Ko-kolor.

KARBORUND: Dobra.

MARCIN: Poczekałno ty trąbo./przysuwa sobie swoje karty
odrzuca dwie/ Totus.

LUCJUSZ: Eston drante kuparwilo. Doktorze Solfernusie wzy-
wam cię po raz drugi. Ten dragon nas chce zrujnować.

MARCIN: Totus powiadam, gołąbki wy moje. I to taki totus,
że ani nie więcej, ani nie mniej. Równie taki, jakie-
go Marcin potrzebuje.

OMNIMOR: Tte niemożliwe, ddyć ja nam ddwa saasy.

KARBORUND: Kontra.

MARCIN: Re.

OMNIMOR: Rerere...kontra.

MARCIN: No to hop. Ja jeszcze na to daję najwyższą kontre
na całys tym podole kez./zagrywa/ A teraz szabla
w dłoń, bierzemy go galopem. Trantada, trantatata
za mną gnojki. Marcinowi wojenne szczęście sprzyja.
/wygrywa całą grę, woła w szale/ Zwykły totus
dziesięć, kontra dwadzieścia złotych ptaszków, re
czterdzieści, re-kontra osiemdziesiąt, a to moje
najwyższe kontra, moi drodzy, to się policzy sto-
sześćdziesiąt. Myślę, że do tego nawet rachować

nie musicie. Dajcie no tutaj te woreczki i będzie kwita.

/zabiera diabłem sakiewki z dukatami/.

LUCJUSZ: Tyja trunde trudykato. Cały kapitał poszedł. Wzywam cię po raz trzeci, wielki Solferno, ja sobie z tą bandą nie poradzę.

Muzyka.

/Rozlega się piekielny huk, grzmot, w izbie stoi

SOLFERNUS: / w roku przemienne dyscyplina, natychmiast zaczyna okładać Gaminora i Karborunda/:

Pod strychi ćurnie. Jak sobie możecie pozwalać na obrażanie pana Kabata tak głupim i bezmyślnym graniow? /do Marcina/. Pozwól, dostojny gościu, że się przedstawię: jestem doktor Solfernus i przybywam, by panu ofiarować swe usługi.

LUCJUSZ: /pełen radości wskazuje do izby/:

Całe szczęście, że się pan zjawił, panie doktorze. Te oczajdusze...

SOLFERNUS: Stul pysk i marsz za nim pod stół. Tyś jeszcze większy cymbał od nich.

LUCJUSZ: Ale ja przecież....

SOLFERNUS: Milcz, ignora niele.

LUCJUSZ: Przecież ani pary z gęby nie puszczam.

SOLFERNUS: Puszczasz i to głupio puszczasz. Precz./zdzielił go dyscypliną/.

MARCIN: Ale, ale, panie doktor, na co tak ostro? Kiedy człowiek ma pustki w kieszeni, to mu głupi gracz trzy razy milej niż dobry.

SOLFERNUS: Ci nieponie ubliżyli pańskiej urodzonej inteligencji,

panie Kabat, proszę mi wierzyć. Trzęsę się z gniewu, gdy widzę tak rozsądnego człowieka w towarzystwie takich tępych hultajów. Podziwiam pańską cierpliwość, która sprawiła, że ich pan w ogóle przy sobie mógł znieść.

MARCIN: Że tak prawdę rzec, panie doktor, to mnie tam każdy diabeł jednaki. Każdy trochę piekłem śmierdzi, nie? A z kim tu innym można w karty różać.

SOLFERNUS: Jestem osobiście na Pańskie usługi. Co by pan tak na oczko powiedział? Idzie znacznie szybciej i jest bardziej emocjonujące od tego ponurego marlasza. Zapewne zna pan oczko?

MARCIN: Oni, panie doktor, są zdaje mi się adwokat, prawda? A mnie w życiu ciąglem powiadali, że adwokatom zawsze więcej o pieniądzu idzie niż o graniu. Żeby było jaśniej: jabym tych oto złotych ptaszków nie rad na darmo podskubywał.

SOLFERNUS: Proszę się nie lękać. O pieniądze w ogóle mi nie chodzi. Może Pan sobie schować dukaty, a grać będziemy o co innego.

MARCIN: Oho. Ten wiaterek to już dawno wiem, z której strony wieje. Pewnie o duszyczkę będzie, panie doktor, z przyjemnością zagrali, prawda?

SOLFERNUS: A dlaczego by nie? Panu ta rzecz jest zgola niepotrzebna, podczas gdy dla mnie ma ona wartość, że tak powiem...kolekcyjonerską. Kolekcyjonuje dusze z takim samym samizowaniem, jak inni zbierają porcelanę albo cynowe kufle. A ta pańska to naprawdę piękny okaz...niech pan zrozumie: dla

zbieracza. Proszę niech pan postawi dusze, a ja postawię na to taki wór pieniędzy, że go pan stąd przez tydzień nie potrafi wynieść.

MARCIN:

Widzi pan, panie doktor, ile razy mam wybierać pomiędzy mrozem a ciepłem, zawsze wybiera m ciepło. Tylko, że tam u nich na dole trochę za nadto przypieka. A poza tym: siedzieć tam przez całą wieczność, to dla mojej niespokojnej włóczęgowskiej natury jest przecie dżiebeczko za długie.

SOLFERNUS:

Niech pan nie będzie dzieckiem, panie Kabat. Z tym ogniem piekielnym to babackie ploty. A dusza? Czy widział pan kiedy duszę? Mógł pana śmiało zapewnić, że jest mniej warta od porządnego rybiego pęcherza. Takie nadmuchane nie: sważyć tego nie można, zmierzyć także nie, w smaku to ani kwaśne, ani przesne, - ani to pachnie, ani to śmierdzi. Bardzo często zresztą ten czy ów z nas popada w swądzenie, czy wogóle warto zadawać sobie trud zbierania tych marnych, pustych ludzkich banieczek, które nazywa się duszami. Uprawiały ten niedorzeczny proceder więcej prawem przyawyszajenia i bezwładu, z nudów i dla zabicia czasu... Ma pan ochotę zagrać? Będzie trzymał bank.

MARCIN:

Jeżeli to z tą duszą jest tak, jako powiadają, panie doktor, to ona ani nie warta jest gry. Kiedy nam Pan Bóg tylko taki drobny podarunek ofiarował, że niech go sobie spokojnie z powrotem odbierze. Ja mu już tej przykreści nie zrobię, żeby go miał gdzieś zaprzepaścić.

SOLFERNUS:

Jak pan woli, panie Kabat. Obowiązkiem moim jed-

nak jest zwrócić panu uwagę, by pomyślał pan o przyszłości. Gdzie pan znajdzie takiego jak ja dobrodziej, który by panu zapewnił spokój i dobrobyt na stare lata ?

MARCIN: Pięknie dziękuję, panie doktor, za te troskliwość. Ale ja z biedą i nędzą tak długo już za pan brat żyję, że te dwie ślicznotki jużby wytrzymać na świecie bezemnie nie mogły. Cały mój majątek, to niech tam... I bez bluzy można żyć.

SOLFERNUS: Wie pan co, przyjacielu ? Zagramy wobec tego o tę pańską bluzę.

MARCIN: O bluzę ? Dlaczego nie ? Jest na niej o jedną drugą dziurę więcej niż to krawiec samierzał, ale za stawkę do dukata jeszcze obstoi.

SOLFERNUS: Ja stawiam dziesięć dukatów, żeby panu dać dowód, że mam wobec pana uczciwe zamiary.

MARCIN: No to gramy. Proszę dawać.

SOLFERNUS: /rzuca Marcinowi dwie karty/

Dosyć ?

MARCIN: /podgląda je powolutku, a potem mówi:/ Jeszcze jedną.

SOLFERNUS: Proszę, jest trzecia.

MARCIN: /Zagłada/ Hm, to za dużo. Bluzę diabli wzięli.
/zdajmie ją i podaje Solfermusowi/. Niech im służy.
/W tej chwili gdzieś wybija północ/.

SOLFERNUS: /szybko chwytając bluzę, sięga ręką do kieszeni, wyjmując dwa listy, KASI i DISPERANDY, które Marcin tam włożył, wkłada je do swojej kieszeni i z iron-

nią ciska Marcinowi bluzę z powrotem/.

A jednak głupiec z ciebie, ziemski robaku. Ten
Zach możesz sobie zostawić, mnie znacznie bardziej
interesują te papiery.

MARCIN: Jezus Maryja. Listy.

Muzyka.

K u r t y n a .

/W tej chwili rozlega się huk, zapada ciemność.
Selfernus z dzikim chichotem znika wraz z innymi
diabłami. Gdy powraca światło, MARCIN stoi mę-
kany przy stole, bluzę trzyma w ręku/.

MARCIN: Panie Boże, gamoń jestem. Swojej zgniłej wstręt-
nej duszy strzeżę jako oka w głowie, a takie
dwie piękne młode duszyeski peham diabłu prosto
w paszczę.

K u r t y n a .

- - -

ODSŁONA PIATA

las i pustelnia. Na kominie siedzi LUCJUSZ i zagląda do środka obserwując Scholastyka. PUSTELNIK trzyma w ręku gałąskę, macza ją w misce i kropi izbę.

Muzyka.

SCHOLASTYK: A to ci dopiero. Na stare lata grzech na mnie spada narzuca. Trzydzieści lat myśli moje były czyste, a tu naraz masz. Bezwstyd i bezczesność. Całą noc przez to nie spałem. W którąkolwiek stronę oczy zwrócę, wszędzie kobiety nieobyczajne. Apage. Naraz do piekła. Apage.

LUCJUSZ: Widzicie go, to stare próchno. Ja mu tu najsmakowitsze kąski wybieram, blondynki, brunetki, nawet rudowłose, to szczupłe, to znów pulchne, dziewczątka jak brzoskwinie, a ten dziad tylko wysyła i krytykuje.

SCHOLASTYK: /wcina kropi/

Kobieta jest narzędziem szatana. Ja to dobrze wiem.

LUCJUSZ: Tego sam nie wymyślił, musiał to gdzieś wyczytać.

SCHOLASTYK: Szatan krąży jako lew ryjący, patrząc kogo by pożarł.

LUCJUSZ: Tobą się piekło udławi, ty kościotrupie. Gdybym to ja mógł robić co bym chciał, raczej bym dał się dziewczątce wolać kusić niż jednego pustelnika. Ale rozkaz rozkazem, Luciu, spróbujemy jeszcze jeden typ.
/z kąta izby wynurza się zjawia kobiety, tańczy za Scholastykiem, potem od tyłu czyni taneczny gest jakby go obejmowała, SCHOLASTYK przestrasza się, szybko się odwraca, kobieta chce mu paść w ramiona/.

SCHOLASTYK: /pryska na nią wodą z misy/

Zgin, przepadnij, maro piekielna.

/Kobieta znika z jękiem/.

LUCJUSZ:

Pfuj, ten chłop w ogóle uczucia żadnego w tym ciele nie ma. To tak się postępuje z damą, ty chamlu jeden. No poczekaj, odpłacę ci ja za to. Pan mój wyższy jest na obżarstwo, pan nie łasy na rozpustę, ale ja na pana jeszcze tembardziej grzeszek znajdę, jak pstrąga na miszke cię chwycę.

/W tam rozlega się strzał armatni, po nim drugi, rozbrzmiewają dzwony coraz silniej, LUCJUSZ chowa się za kominem/.

SCHOLASTYK:

/szarpnął się zaskoczony, zaniedbał kropienia, wychodzi przed chatę/:

No, no w mieście jakaś uroczystość na czyjąś cześć wybuchła. A niech im tam. Sława to dym.

/zupełnie blisko rozlega się wrzaskliwa fanfara/myśliwska, kilka wystrzałów, na scenę wpada drużyna żowiecka prowadzona przez żowczego Huberta/.

Muzyka 22.

HUBERT:

Dzień dobry, Ojciec Scholastyku. Wybacz, że niepokoję twoją samotność. Zaraz podziwimy dalej, bo roboty mamy dużo a czasu diablo mało.

SCHOLASTYK:

Witam was, panie żowczy. Cóż tak szastacie prochem ?

HUBERT:

Nie słyszysz tych strzałów armatnich ? A biele w dzwony też ci nie nie mówi ? Właśnie słodkie zajęcie musimy do kuchni królewskiej dostarczyć dwieście sztuk saren i jeleni, tysiąc porządných szaraków i jeszcze sześćdziesiąt kop bażantów do tego. Królowna DISPERANDA wychodzi za mąż.

LUCJUSZ:

/na kominie/:

A nie mówkiem ? Obsługa solidna, dostawa natychmiast

SCHOLASTYK: Jakżeś ? Zdecydowała się królowa ? I komu wyższość przyznała ? Romualdowi nad Izydorem czy na odwrót ?

HUBERT: Ci niesmordowani konkurenci obydwa na równi pietruszkę sikrobią. Dais rano zjawił się trzeci konkurent, dostojny książę Imael z Dolfernezji, jeśli dobrze dosłyszyszam. Może raczej pochodził będzie z Szanty albo Naurytanii, bo na gębie ładnie na brąz opaloną. Ale jak tam jest, tak jest, król uznał jego rodowód a królowa mała mu się na szyję nie rzuciła. Co do tego, to się jej wcale nie dziwi, bo książę Imael naprzeciwnie tanyh konkurentów wygląda jak lew przy myszach.

LUCJUSZ: I doktorat ma, miko dany. Nawet dwa doktoraty.

SCHOLASTYK: A jak tam u niego dobra... te doczesne myśły ?

HUBERT: Ezota na stu jucanych koniach przywiózł, a w domu ma podobno kopalnie drogich kamieni...

LUCJUSZ: Jest ebtynontem i bynajmniej nie utracjuje z niego. Jeśli gra w karty, zawsze wygrywa, a kobietami interesuje się tylko w związku ze swoim zawodem.

SCHOLASTYK: To się nazywa szczęście. A cóż to te strzały armatnie ?

HUBERT: Obwieszczają, że została zawarta umowa przedślubna. A dzwony zaczęły bić, w chwili gdy dostojny książę Imael u boku prześwieatnej narzeczonej rozpoczął uroczysty objazd ulicami miasta, by pokazać się całemu ludowi jako przyszły władca. Ale na mnie już czas, bo polecenie trzeba wykonać. Bądź zwrów, ojczu i żyj w pokoju. Hej trębacz, zagrajcie. Polujemy dalej.

Muzyka.

SCHOLASTYK: Ha, sarny, bażanty...to rozumiem. A czemu tutaj trzydziści lat tylko o tej szaradzie...

LUCJUSZ: Co to ? Mój pan przecież jednak nabiera apetytu ?

SCHOLASTYK: Scholastyku. A cóż ci to na myśli przychodzi do

głowy ? Tak wygląda, jakby ci to wczorajsze diable rozum pomieszało. Szaraśca i basta. To jedynie odpowiedni pokarm dla świętych ludzi. Wiech sobie tam na zanku nawet zabędzie sayjki nadziewane jedzą, każdy kęssek przybliża ich o krok od piekła. Dzięki Bogu, że mi już to samąspójście królowy z głowy spadło. Z tego ciągłego dawania rad można już było bzika dostać.
/W tym momencie wybiega z lasu MARGIN KABAT/.

MARGIN: No, to się cięsz, że Was tu w zdrowiu znajduje. To wyście są ten święty pustelnik, co się korzonkami żywi ?

SCHOLASTYK: Czego pragniesz ode mnie, wędrowcze ? Stronię od świata i jego niepokoju, chętniej z Bogiem rozmawiam niż z ludźmi. Nazywają mnie ojcem Scholastykiem.

MARGIN: No to ścieście prawie ten, do którego spieszę. Przebaczyć, że tak nagle wpadam. Na mnie mówią Marcin Kabat i jeszcze pare lat temu mogliście mnie oglądać naprawdę w żadnym kabacie, na koniu i z pałaszem w prawej ręce. Teraz to już ze mnie tylko bidny wędrowiec, który wraca z dalekich krajów...

SCHOLASTYK: Drogi wędrowcze, jestem człek ubogi i jaźnuśny nie udzielam.

MARGIN: A kto wam powiedział, że tu o jaźnuśną idzie ? O dusze ludzkie chodzi, żebyście wiedzieli, a w takiej sprawie powinniście znaleźć sobie trochę czasu, żebyście mnie mogli ze wszystkimi wysłuchać.

LUCJUSZ: Ten niepoń, zdaje mi się, chce tu wszystko wypłacić. Niech tylko słówko pienie, to mu je zaraz z powrotem do gardła wciągnę razem z tym jego parazywym jęsykiem.

SCHOLASTYK: Jeśli o duszę ludzką chodzi, jak powiadasz, to owszem, wysłucham cię. Czy pragniesz, wędrowcze wyznać mi swoje grzechy ?

MARGIN: Na moje grzechy szkoda czasu. O te dwa cudne kwiatuszki mi chodzi, ojciec świętobliwy, żeby w paszczę diabelską nie wpadły. Ja bidny grzesznik nadymałem się pychać, że

Je od ognia wiecznego obronie, a tymczasem samem je tam przez głupotę popchnąż.

LUCJUSZ: /seskaluje z dachu wprost przed Marcina/
Nie pęd tu bzdur, dragonie. Bądź rad, żeś całe wyszedł i trzymaj ryśk.

MARCIN: A pójdźcież mi stąd, ty śpiku. To se pamiętaj, że już ja ciebie na śrudka wystrychnę, choćbym głowę miał nakłuży ć.

SCHOLASTYK: Jeśli, wdrowcasz, tego kotra do swoich przyjaciół zaliczasz, to mocno się dziwię, że właśnie do mnie po radę przychodzisz.

MARCIN: Do przyjaciół? To wam się udało, ojcze światebliwy. Dyć to przecie całkiem zwyczajny czar na kussenie ludzi naszkary. Nie radziłbym wam patrzeć, jak mi jednego przykożę, jeśli się nam będzie do rozmowy mieszać.

LUCJUSZ: Zamilcz Marcinie, bo ci język wyrwe i posm na pożarcie rzucę. Jeśli dasz sobie to po dobremu wytłumaczyć, całą drogę stąd aż do twego domu dukatami ci wyłożę.

MARCIN: Wiście go, ojcze światebliwy? Ile razy kogo chce obalamuś, zawsze ma pełną gębę obiecanek. Nie znajecie wy czasem jakiego zaklęcia, żeby nam przestał przeszkadzać?

SCHOLASTYK: Coś ci za bardzo na tym zależy, żeby się pozbyć tego świadka.

MARCIN: To, coście rzekli, ojcze ościgodny, to wcale nie było mądre. Niech i tak będzie, ja moją sprawę mogę wam i przy czarcie wyłożyć.

LUCJUSZ: Ja wiem, ojcze kochany, że nie darzysz mnie swymi względami. Ale jeśli masz to wolno mi dać ci dobrą radę, to nie wierz mi ani słowa. To pomylenie i pijaczyna. Na dole, w mieście zaczął z królewskiego rozkazu se wszystkich studzien tokać płynąć. A ten głodziarz tutaj to pierwsza ofiara łaskawości naszej

go władcy.

SCHOLASTYK: I bez pomocy diabła znawałyś, wędrowcze, że twój język coś z rozumem w niezgodzie żyje.

LUCJUSZ: Na mózgu guma już ma, a jeśli jeszcze chwilkę językiem pomiela, zrobi mu się taki sam i na języku.

MARCIN: No dość już tego dobrego, diabełku. Jak cię pustelnik nie chce sakłód, spróbuję to zrobić ja sam. Pan Bóg przecie ma dla każdego porządnego człowieka uszy otwarte. W imię Boga Ojca zgiń, czarcie, albo cię tym kijem przedwiecę.

LUCJUSZ: /znika bez słowa/.

MARCIN: Nie gniewajcie się, ale ktoś to musiał zrobić. A teraz posłuchajcie mnie: ta wasza królowna DISPERANDA...

SCHOLASTYK: ...uroczyście przymierza swą rękę najjaśniejszemu księciu Izaakowi, któremu to związkowi niechaj same niebiosy błogosławią...

MARCIN: Tu nie idzie o rękę, dusza jest najważniejsza...

SCHOLASTYK: Jeśli chodzi o duszę najjaśniejszej królowej, znam ją lepiej niż ty, wędrowcze, albowiem jestem jej duchowym powiernikiem.

MARCIN: Jeśli chodzi o duszę, to nie nie wiecie. Ja sam byłem wczoraj świadkiem, jak ta wasza królowa Disperanda duszę szartu zapisała.

SCHOLASTYK: Kłamiesz, oszczerco. Za taką obrazę powinienem cię oddać pacholcom kata, żeby cię za ten plagiat język powiesili.

MARCIN: Chęćbyście mnie i sto razy powiesili, tej nie-szczęsnej prawdy ani o kąsek nie zalienicie. Powiadam wam po raz wtóry, wczoraj wieczór królowa Disperanda zapisała swoją duszę szartu. Stało się to przed jedenastą w nocy w Szarcim

Wynio, służąca królowej Kasia, też tam była.

SCHOLASTYK: W jaki sposób możesz tego dowiedzieć, wdrowcze ?

MARCIN: Co po dowodach, kiedy mi nie wierzyacie. Na własne oczy sam widział i gdybym tylko był odrobinko sprytniejszy, mogło się to wszystko inaczej skończyć.

SCHOLASTYK: Ale dlaczegoś by to uczyniła ? Co ją do tego skłoniło ?

MARCIN: Oż raz widzieć, że babiskiego nasienia nie znacie. Dla męża to zrobiła, co będzie od anioła ładniejsza. Ale co prawda, to prawda, piekło słowa dotrzymał mnie. Bais rano mąż naprawdę przyszedł...

SCHOLASTYK: Najjaśniejszy książę Izmael ?

MARCIN: Wczoraj przed północą, kiedy ze mną w oczko grał, nazywał się śdziebko inaczej. Przecie sam mi się rano na wieście przyjrzał. Gdybyście mi cholewy zwieklili, zobaczylibyście, że ma kopyta.

SCHOLASTYK: Jeśli, to co mówisz, wdrowcze, jest prawdą, wstaw na tę bezbożną dziewczynę ogień boży i siarkę niebieską. Wlecz w nią grom raczej ugodzi i pod ziemią ją skryje, zanim by ten grzech na jaw wyszedł i hańbą okrył jej niewinnych rodziców.

MARCIN: No, gramięt i wyklinać to poradzicie do porządku, ale ja tu więcej po radę przyszłem.

SCHOLASTYK: Jeszcze wczoraj radziłem jej, żeby oddawała się modlitwom. Szkoda, że ją piekło od razu na tym miejscu nie pochłonięło, jeśli nie miała zamiaru przywiązywać do mojej rady należytej wagi.

MARCIN: Posłuchajcie no, panie pustelniku. Może przecie nie jest jeszcze za późno ? Co byśmy to za głowy na karim mieli, gdybyśmy przez takie wierutne głupstwo królową z Kasią w czartowskich zapachach zostawili ?

SCHOLASTYK: To ta przesiadka Kasia też duszę zapisała ?
Bodaj ją szatan na najostrejsze z piekielnych
widoków nadział.

MARCIN: Uspokójcie się- panie pustelniku, nie bierzcie
tego wszystkiego tak nagle. Dziwieszyńskie skłody są
puściły się na to z głupoty. Krew w takim dmi-
nastoletnim ciele jest gorętsza niż aleko na roz-
palonej blasze, nie upilnujciez jej, choćbyś nie
wiedział jak pilnować. Byłoby, że jeszcze je z tego
kraju wyślągniesz. Staroży byście mi tylko do-
brą radę dali, a tę czarną robotę to ja już
sam robię.

SCHOLASTYK: Kto piekła palec poka, jest na wieki stracony.
Ja robiłem, co było w mojej mocy. Nie usłucha-
ły, dobrze im tak. Teraz ma ja już diabła w swo-
ich szponach.

MARCIN: Ale to przecie niemożliwe, żeby człowiek za ta-
kie jedno młodzieńcze głupstwo na wieki w pie-
kło przepadł. Rozumiałbym jeszcze, żeby za pychę,
obżarstwo, lichwiarstwo albo morderstwo, ale za to,
że w młodych żyłach raz krew zakipi ? To nie może
być prawda, ty pustelniku, to chyba tylko tak
ze złości gadasz, nie ?

SCHOLASTYK: Milcz, błazniarce. Jeśli ja coś powiadam, to
tak jest i koniec.

MARCIN: Jezusieńku, dlaczegoś to nas Pan Bóg wydał na
pastwę prześladowym głupotom młodego wieku i wsze-
lakim cielesnym błędom, kiedy za każde najaniej-
sze potkniesz się tak się nas karze ?

SCHOLASTYK: Nikt się potykać nie musi. Sześćdziesiąt lat na

świece żyje, tu na puszczy trądzisz i niech
mi kto dowiedzie, że się za ten cały czas choć
jeden jedyny raz potknąłem. Przeciwnie. Żyłem
tu bez grzechu i znany, wiedząc żywot prawdziwie
świety. Znak i Pan w niebiosach spogląda z uzna-
niem na moje zasługi i wcale nie prze sadzę, jes-
li ci powiem, że mnie noc niebiańskich rozkoszy
czeka.

MARCIN: To ci, pustelniku, na tych dziesięciach ani tro-
che nie zależy?

SCHOLASTYK: Ani trochę. I wogóle nie zależy mi już na nikim
z tej ludzkiej zgrai. Błazego tak jak ja nie
poszli na puszcze? Nagli nied tak jak ja zapew-
nione zbawienie duszy. Co mnie obchodzi świat? Co
mnie obchodzi ta nędzna ludzka? Niech każdy
sam o sobie się stara.

MARCIN: A to ci dziwne. Powiadasz, pustelniku, że świę-
ty i że ci dlatego na ludziach już nie zależy.
Ja jestem grzeszny włóczęga i tułacz, który na
tym świecie od ludzi bardzo mało dobrego zaznał.
Ale przecie jednak ci na ludziach nie przestało
zależać. Ha... tak to jest. Toś ty święty....
A ludzki człowiek nie jesteś, pustelniku, a to
podłóg mnie jest grzech.

SCHOLASTYK: Nie obraża ci mnie tutaj, ty naczynie grzechu i
idź w swoją drogę.

MARCIN: Pójdę, pewnie, że pójdę. Ale gdyby ci w tym Pan
Bóg racje przyznał, to byś się czego zawiodł.
/odchodzi/

SCHOLASTYK: Człowiek nigdy nie może być dość ostrożny. Ani
chybi, że to może jakąś nowa diaboliczna pułapka.
Ale mnie na kawał nie wezmiesz, szatańskie na-
sienie, droga zbawienia leży przede mną prosta
i jasna.

/ W tej chwili daje się słyszeć szum skrzydeł

i z niebieskian wyłyn słatuje anioł/
Muryka.

TEOFIL: Bądź pozdrowiony, ojcze Scholastyku.

SCHOLASTYK: Witam cie, aniele Teofilu. Maraszcie jakieś przyjemniejsze odwiedziny. Cóż ci przynosisz ?

TEOFIL: Pan mój przysyła ci chleb codzienny.
/podaje mi chleb/

SCHOLASTYK: Najmilsze dzieci składam Panu Bogu. Chwała Panu na niebiesiach. Ale co to, aniele, przecież ty jesteś cały zapłakany ?

TEOFIL: Przekazałem przez całą drogę z nieba. Zdjęła mnie straszliwa żalozna.

SCHOLASTYK: Ale gdzie. Nad czym ? Przecież wam aniołom niczego nie brakuje. Czyż nie upływa wam czas w nieustannej błogości ?

TEOFIL: Nad królową Disperandą. Straszny los jej grozi. Duszę szatanowi napinała.

SCHOLASTYK: No, potracie, ten wściekły przecież nie kłamał. I to się tak martwi ?

TEOFIL: Będzie musiała cierpieć straszne męki piekielne i jej słońcem też. Mój Boże, a wszystko to przez zwyrodniałą głupotę.

SCHOLASTYK: Ty to nazywasz głupotą ? Ja to nazywam grzech śmiertelny.

TEOFIL: Ale przecież w tych dziewczętach nie ma grzesznej natwardziałości. Jeszcze wczoraj dusze ich były czyste jak kwiaty białej lilii.

SCHOLASTYK: Białe mi lilie. A wczoraj to nie dziś. Niech no sobie idą te panny pokutować. Ma ich obrzydliwego postępu nie ma ani usprawiedliwienia, ani przebaczenia.

TEOFIL: Ojej, żebyś znał Pana naszego bliżej, dopiero byłoby zobaczyć, jak umie grzech od grzechu odróż-

niać. Nad jednym tylko się uśmiechnie, to tylko nieznacznie ręką machnie, nad innym to niemal nie sapłasze. Od czasu do czasu wiadomo — grzeszy i pieruny także latają. Ale to wtedy tylko, gdy spostrzeże grzech przeciw człowieczeństwu, okrutny i szatański. Nie życzyłbym ci patrzeć, co robi z takim wyrodkiem. Góć znaczą tam taki wybrzyź młodoci, jakiego dopuściły się Disperanda z Kasia? Gdy tylko wrócę do domu, sam będę za nimi prosił gorąco żeby nie były potępione.

SCHOLASTYK:

I myślisz, że to jest w porządku? Gdyby tego rodzaju wybryki, czyny rozpustne i nierządne były tak sobie lekko ręką odpuszczane, wróćcie nie byłoby żadnej dyscypliny na świecie. Każdy by sobie grzeszył z na wesoło ile tylko dusza czy też grzeszne jego ciało zapragnie. Wszyscy mówiliby sobie: przecież ni to Pan Bóg i tak przebaczy.

TEOFIL:

Ale Pan nasz naprawdę....

SCHOLASTYK:

Ja też wiem coś nie coś o niebieskich praktykach, Teofilu. Całe życie się tymi sprawami zajmuję, studiowałem je w uczonych księgach, rozpoznaję się z poglądami wielu znakomitych uczonych na te rzeczy. Już ja dobrze wiem, co i jak. I powiadam ci: gdyby nie stosowało się jak najsurowszych kar, świat pogryzłby się zupełnie w szaleńczej rozwiązłości.

TEOFIL:

Ja wiem, że jesteś naprawdę uczonym, podczas gdy ja jestem tylko zwykłym, niewykształconym aniołem z ostatniego chóru, dobry tylko do drobnych posyłek i mniej ważnych poleceń. O ty masz napewno więcej mądrości w małym palcu niż ja w całej głowie. Ale Pan nasz mówi, że do takich spraw trzeba podchodzić delikatnie i z wyczuciem....

SCHOLASTYK:

Nasz rację, duś się nie nauczył. Kąkol musi być oddzielony od ziarna, to jasne jak słońce. Popatrz na mnie: ja jestem czyste ziarno. Trzydzieści lat, o ile pomnę, nawet myślą nie sgrza-

sztytem. Bardzo cisłenie trzebiłem w sobie stałym umartwianiem. Dzie i nocne spędzałem na modlitwie. Pościłem tylko w piątki, ale we wszystkie siedem dni tygodnia, grzeszne jadło i napoje nam tylko ze słyszenia, od chwili gdy odwracałem się od piersi matki nie tknąłem kobiety. Jakże mogłoby dojść na przykład do tego, że ja za te swoje wszystkie nadzwyczajne zasługi spotkałbym się z taką samą zapła-tą, co grzeszna, występna dziewczyna, która w ostatniej chwili, gdy jej już woda do uszu się wlewa, zaczyna skomlać o boże miłosierdzie.

TEOFIL: Ja myślę jednak, że tak zupełnej racji, że nie masz.

SCHOLASTYK: A ja wiem, że mam rację. Żebyś wiedział, to w tej sprawie był tu już u mnie jakiś wżócnego.

TEOFIL: Wiem, Marcin Kabat....

SCHOLASTYK: To była napewno jakaś diabelska pułka ka.

TEOFIL: Nie zdawało mi się....

SCHOLASTYK: Wszystko jedno. Przepędziłem go gdzie pieprz rośnie.

TEOFIL: Dlaczego raczej nie doradziłeś mu czegoś ?

SCHOLASTYK: Na ludzi trzeba ostrogo bata. Nie doradziłem mu dlatego, że choć , nie nieobyczajność została ukarana. Żeła znowu miotkami trzeba ją wymiatać...

TEOFIL: /wytacha płaczem i odlatuje bez słowa/.

SCHOLASTYK: No, no paniczek boś bardzo na miękko zrobiony. Z takim sentementalizmem nie daleko byśny zajechali.

Muzyka 24.

K u r t y n a .

ODSŁONA SZOSTA

Las z chatą rozbójnika SARKI-PARKI. Między drzewami biega LUCJUSZ i śpiewa:

- - -

LUCJUSZ: Jak się dobrze smażyć w piekło, hopsa, hej,
Z piekła nikt już nie ucieknie, hopsa, hej,
Każdy diabeł po dobroci, hopsa, hej,
Da wam smoły, ile chcecie, hopsa, hej
Będzie wam tam dobrze w cieple, hopsa, hej,
Siup, duszyczki, siedźcie w piekło, hopsa, haj.

/Na scenę wchodzi Marcin/

LUCJUSZ: Aaa, uszanowanie pana, uszanowanie najniższe panie
Kabat. Jak się miewa pańska czcigodna bluza ?
Co perabiają pańskie szanowne portki ? Niech je
pan sobie dobrze na dole zawiąże, bo gdy pańskie
serce znajdzie się w nogawicy, mogłoby wypaść i może
by się potłukło.

MARCIN: Daj se pozór, potworo, żebym cię za ogon nie zła-
pał i nie wyrócił ci tej śmierdzącej skóry na nice.
Dokądście te listy zawlekli, co ?

LUCJUSZ: Niech pan będzie łaskaw prosto a za rogiem w lewo.
Listy są w pie kło, a książę Belzebub polecik sobie
zrobić na nie skórzaną tekę. Teraz czeka tylko żeby
na pan przyniósł na ten cel swoją świńską skórę z
grzbietu. Niech pan pozwoli dalej, audjencje odbywają
się w każdy czwartek od trzeciej do szóstej.

MARCIN: Żebyś wiedział, dziadu jeden, że tam pójdę.
/A teraz snikaj, bo cię...
/zamierza się na niego laską/.

LUCJUSZ: Ojej. /znika/

MARCIN: /podechodzi do chaty, wali w drzwi/:
Zbóju. Wyleś no stantąd.

SARKA-PARKA: Co za nędza gębę tu na mnie otwiera ?

- MARCIN: Przecie mnie już znasz.
- SARKA-FARKA: O, dragon. No i co, przespałeś się w Gzarcim Mżynie ?
- MARCIN: Pewnie, że się przespał.
- SARKA-FARKA: A w mariazka grałeś ?
- MARCIN: Bodaż mi były obie ręce odpadły zanim się tego tłęł.
- SARKA-FARKA: O psia.... duszę przegrałeś, co ?
- MARCIN: Żeby to jedną. Przegrałem też odrazu dwie.
- SARKA-FARKA: O, do licha, to żadna awantura. No i co teraz zrobisz ?
- MARCIN: A bo to wiem. Najpierw muszę tam zajść, żeby mi te listy oddali.
- SARKA-FARKA: To do tej przegranej duszy chcesz i jeszcze i ciało donieść, żeby mieli wszystko ładnie do łapy ?
- MARCIN: Ja nie swoją duszę przegrałem. Dwa cudne gołąbki wepchnąłem plekzu w passzę.
- SARKA-FARKA: Dziewczyny ?
- MARCIN: ...Dziewczyny, Młode i Ładne.
- SARKA-FARKA: Co tam baby. Zawsze są fałszywe i tak czy tak by się do plekza dostały. Nie chodź nigdzie i bądź rad, żeś sam w porządku.
- MARCIN: Ale ja wcale nie jestem w porządku. Sumienie mnie dręczy. Robi się z tego w człowieku takie zamieszanie i jest mu ciągle tak źle, że wytrzymać z tym nie sposób. Gdybyś ty miał sumienie, też byś narzekał i lamentował.
- SARKA-FARKA: Powiedz, że mi człowieku, co to jest właściwie to sumienie ? Czy to z tego się tak ciężko tutaj robi ? A jak to w nocy, straszny ? Czy to taka zmora, że człowiek dychnąć nie może ? Wiedzą, że ja to tak nie mam. Akuratnie to samo. Całymi nocami nie śpi

a kiedy wreszcie trochę usnę, zaraz widzę koło siebie samych diabłów i wszelakie przedziwne straszidła. Zawsze się z tego budzę cały mokry od potu.

MARCIN:

To właśnie to, zbój. Dlatego też muszę do piekła.

SARKA-PARKA:

A ja znów względem tego będę chyba musiał porzucić zawód... na stare lata. Ja nie wiem, jak to jest, ale ile razy kogoś napadnę i złupię, zaraz mnie ten uszkodzony w nocy straszy przychodzi. Dawniej tego nie było, gdzieś tam. Jakem był kiedyś, spałem jak kamień. Dopiero w tych ostatnich latach tak mnie to gnębić zaczęło. Najchętniej bym rucił ten rozbój, gdybym tylko jakie inne utrzymanie znalazł.

MARCIN:

Jeżeli ci sumienie spać nie daje, to znajdź sobie jakąś robotę. Poszuchajno, przecież ty byś mógł pójść na młynarza na ten Czarci Młyn. Jeżeli się diabłów boisz, na noc tam zostawać nie musisz. Od rana do wieczora namielesz tego że hej.

SARKA-PARKA:

Ja mówię o utrzymaniu, a ty zaraz o robocie myślisz.

MARCIN:

No przecie. Worki byś nosił, ziarno sypał, mąkę byś wygarniał i byłoby ci tam jak w raju.

SARKA-PARKA:

I stawidła bym także musiał spuszczać i podnosić i kamienie młyńskie obrabiać, prawda?

MARCIN:

A pewnie, pewnie i koryta tu i tam ponaprawia...

SARKA-PARKA:

I jeszcze ten dziurawy dach gontem pobić, nie?

MARCIN:

I ogrodzenie całe porozwlekane, też by się należało to śdziełko opatrzyć.

SARKA-PARKA:

Człowieku. Dragonie, a co ja bym z tego miał?

MARCIN:

Co? Utrzymanie przecie. A wieczorem byś zasypiał spokojnie, ledwo byś pościelił dopadł, już byś chrapał jak nowonarodzone dziecko.

SARKA-FARKA: Przecież ja po to za młodu wziął się za robót, żeby nie musiał. Patrzenie go, worki nosić. Zaraz by mnie plecy zabolały. A co dopiero przy ciesielce. Ręce bym miał jak poprzetręcane. Gdzieś tam, dragonie, na robotę to ja ochoty nie mam. Wole już niespokojne sumienie, z tego mnie przynajmniej gnaty nie boją...

MARCIN: Rób jak chcesz, robójniku. Ja ci tylko chciałem doradzić... Ale kiedy ci to sumienie spaść nie daje, daj sobie na parę dni spokój z tym napełnianiem i pożycz mi tego twojego obuska.

SARKA-FARKA: Chyba mi tu roboty psuć nie zechcesz?

MARCIN: Gdzie ci do tego pustego kba wpadło? Przecież ci rzekł, że muszę do piekła. Pożycz mi tego obuska, bo mój debczak na piekielną bramę byłby za słaby.

SARKA-FARKA: Kiedy tak, to ci go pożyczę...
/właź do swojej budy/.

MARCIN: /grozi za nim śmiejąc się/
Ty kotrze szkaradny, to tak ci robota śmierzdzi? Poczekaj, gdy tylko z piekła wrócę, to ci to twoje lenistwo zaraz czymś oszczędzę.

SARKA-FARKA: /wyłazi z maczuga/
Mówiłeś coś, dragonie?

MARCIN: Ania nie pieniąż. To pewnie sojka krzyczała.

SARKA-FARKA: No widzisz, mnie to już nawet i w biały dzień straszy/ podaje mi maczugę/ a umiesz się ty z tym obchodzić?

MARCIN: Pokaż, spróbuje. /Chce się zamachnąć maczugą i gwałtownie Sarkę-Farkę w plecy/. Jakos mi nie idzie

SARKA-FARKA: Do stu pierunów, poczekaj. Przecie byś mnie tym zabił. Musisz mieć do tego akuratny chwyt. Popatrz taki. /Wywija maczugę nityca nad głowę/.

MARCIN: No, to jest dobrze. /Bierze maczugę, robi nityca nad głowę/ A teraz, z Bożą pomocą w drogę.

ODSEONA SIODNA

Wnętrze portierni w piekle. Ciężka okuta brama jest zamknięta. W portierni wokół stołu siedzi na zydlach kilku diabłów i rąbie w karty. Zewnątrz rozlega się wściekłe walenie w bramę.

Muzyka 27. Spiew - Taniec.

DIABEŁ: /odkłada karty/

Zagraj za mnie. He, no, no, co tam nie pali się. Przecie już idę.

/Podchodzi do bramy i zdejmuję sztabę. Wrota otwierają się gwałtownie, wchodzi SOLFERNUS a za nim strasznie zmęczony KARNORUND. Na plecach niesie KASIE, która trzyma go się kurczowo/.

SOLFERNUS: Ty leniu jeden, jak długo mam się dobijać za nim racyzsz otworzyć ?

DIABEŁ: /kłania się nisko, ale w tej samej chwili spostrzega Kasie/:

checheche... niech pan wybaczy, panie doktorse...
ebecheche...

SOLFERNUS: Zrząd ją cybale. Chociaż tutaj nie rób mi wstydu.

SANKA-FARKA: A nie mówilem, że z tego nic dobrego nie będzie ?
...czepiła się mnie jak kleszcz. Uf, ale ta baba ciężka...

KASIA: Ja ci pokażę, ty kajdaku, co to znaczy okłamywać biedną, uczciwą dziewczynę. Co będzie z weselen ?
Ha ? Mów mi tu zaraz całusienką prawdę, szmaciarzu, bo jak nie, to cię tu w te chwile gołymi rękami nduszę.

SOLFERNUS: Będziesz cicho dziewczko pyskata. Puść mi go zaraz, bo cię każę nadziać na widły i wędzić do największego ognia.

KASIA: Chciałabym wiedzieć, dlaczego to księżę pan tak się na mnie krzywią ? Oni nie są mój narzeczony

i nie mają się tu do czego wtrącać.

KARBORUND: Puśćcie mnie Kasio, przecież ja też nie jestem żaden narzeczony.

KASIA: Cooo ? A kto mi wczoraj święty związek małżeński przyrzekał ? Kto mi przychlebiał żech jest najmilsze stworzenie pod słońcem, że mnie będzie ciągnął na rękach nosić ?

SOLFERNUS: Ściągnijcie ją z tego cymbała, bo go jedza udusi. /Diabły ściągają Kasie, KARBORUND przerwa się, KASIA natomiast zrywa się odrazu/.

KASIA: Idziecie wy mi od uczciwej dziewczyny, potwory przebrzydłe. Niech no się tylko któryś z was tknąć mnie poważny. /Jeden z diabłów zamierza się na nią widkami, KASIA trzepnęła go po łbie i wyrwała mu z ręki widły/. Ja ci da m widły, ty zobacz. Spróbuj, jak to sma kuje. /Szturcha go widkami pod łebro, diabeł zaskowyczał i skrył się/ Wstawaj, niepeniu. /Szturcha leżącego Karborunda/ No, jak to będzie z tym weselem ?

KARBORUND: Ojej, Dyd to boli. Poczekaj niech odsapne. Jest żech cały zmorodowany.

KASIA: Nie byłbyś taki, kiebyś oblotnicy dotrzymał.

SOLFERNUS: Wsadźcie ją gdzieś za kraty, żeby już raz był spokój z tą babą. No, jazda. Na co oczekacie ? Gdzie jest doktor Belial ? Muszę z nim mówić natychmiast.

DIABEL -
PORTIER: Zda mi się, że poszedł do Jego Wysokości.

SOLFERNUS: Spełniajcie rozkaz. Kasia musi stąd zniknąć. /wychodzi/.

KASIA: /opędza się widkami/ Tylko mi spróbujcie, piekielniki jedno. No co ? Złapał żeś już dech ?

KARBORUND: Ojej, o co chodzi ?

KASIA: To, żeś miał pomyśleć, zanim żeś zaczął uczyć dziewczynę oszukiwać. Mów mi zaraz, gdzie masz te gospodarke z pięćdziesięcioma morgami, gdzie są te krowy srokate, coś mi je obiecywał? Ten twój fałszywy książę uciekł naszej Disperandzie, ale ja się tak łatwo oszukać nie dam. Ruszajno się, zaraz mnie prowadź do tej chałupy.

KARBORUND: Kasiu, Kasienko... przecie zemnie obłop do niczego, ze mną żadnej radości nie użyjesz... słabowity żech jest i pokręcony cały.... w każdy czwartek mam łamanie w kościach, w piątek mnie rymatyzm trapi, w poniedziałki mam duszności... w każdą środę padaczka mnie trzępie...

KASIA: Gdzie jest te czterdzieści morg? O tym mi tu opowiadaj, draniu jeden.

KARBORUND: I żebyś wiedziała, żech pijok... Każdy grzech, który dopadnę, zaraz na gorzałkę z rumem stracę. A jak do domu przyjdę, wszystko naczynie trzaskam, jednego kawałeczka całego nie zostawie...

KASIA: Gdzie są te krowy srokate? O to mi chodzi Łajdaku.

KARBORUND: Dziecino, szkoda, ty wciąż w kółko o krowach i morgach o srokatych i gruncie i znów o tych krowach i morgach... a ja żech przecie biłny jak mysz kościelna. Ostatnie portki żech się na ławie przetark, na tabak do fajki ni mam. Ja żech się ze wszystkim okłamał, bo mi doktor Selfernus tak nakazał... Wiesz przecie, że przełożonego słuchać się musi.

KASIA: Cooo? To ty żadnego gruntu ni masz? Żadnych krow srokatych? A ja żech, głupia, myślała, że mi się szczęście raz nareszcie uśmiechnęko... Trzymajcie mnie, bo se tu co zrobię z żałości.

KARBONUND: A sobie rób co chcesz, Kasiu kochana, tylko mnie już nie bij. Złutuj się nad starym diabłem, dyć mnie już na osiemset lat idzie, na kolanach cię proszę. Miej zlitowanie, bo Zech przecie niczemu nie winion.

KASIA: Doktor go namówił. Doktor mi kazał. Poczekajcie no. Róbcie se co chcecie, ale chłopca mi dać musicie, bo tu wszystkich na kupie na nie potrzebuję. / Chwyta najbliższego diabła za rogi /

Chodź no tu, diable rogaty. Potrafisz porządną kobietę wyżywić ? Gadaj.

I DIABŁE: Chyba żebym kradł... Nie nie mam, same długi.

KASIA: To zmykaj, łobuzie. / Chwyta drugiego diabła /
A ty co, ma mięsie ? Zonaty, kawaler czy ki diabeł ?

II DIABŁE: Wdowiec jestem, Kasiuniu. Trzy baby jużem zamoczył.

KASIA: To marsz gagatku. Wdowcy przyjdą na sam koniec.
/ Chwyta trzeciego diabła /
A ty co, ciemajdo ?

III DIABŁE: Ja strasznie chrapię.

KASIA: Ja cię już tego odłuczę. Chałupę masz ?
Z czego żyjesz ?

III DIABŁE: Skóry ze zdechłych psów i sadło z parazytych kotów sprzedaję.

KASIA: / Trucze go po Zbie /

A masz, a masz, hyciu. Wazyścicie tu przez tego doktora nasadzeni, żeby na uczeiwe dziewczyny siadła nastawiać.

/ Wtem rozlega się energiczne dobijanie się do bramy. Jeden z diabłów otwiera /
Muzyka.

MARCIN: Dziękci Bogu, żeś jest narazcie u celu. Pfuj, to była droga.

DIABEŁ: Czego tu szukasz, robaku ziemski, z tą swoją parazywą powłoką cielesną? Tu do piekła wstęp mają tylko same dusze. Wyruć mi zaraz to swoje ścielwo za bramą.

MARCIN: /Podsuwa mu maczugę pod nos/
Powąchaj cementarzem zalatuje.

KASIA: Widzicie go diabła starego. Tyś mi się tutaj w sam raz zjawił.

MARCIN: O jejku, a ty co tu robisz, Kasiu?

KASIA: Tylko bez wykrętów. Chłopa chce, com ci na niego podanie oddała.

MARCIN: Dziewczyno nieszczęsna, to ci nawet w piekło ta żeniaczka z głowy nie wywietrzała?

KASIA: Piekło nie piekło, jak mi tu zaraz chłopca nie dasz, będziesz się musiał sam ze mną ożenić.

MARCIN: Jeśli nas już nic gorszego nie spotka, to dla czego nie.

KASIA: A ten młyn to twój?

MARCIN: Oj ty Kasiu głupia, czyżem ja to diabeł, czy co? Uczelwy wędrowiec jestem, Marcin Kabat, człowiek z krwi i kości taki jak i ty.

DIABEŁ: Powiadam ci chłopie, nie pykuj, ale zaraz to swoje mięso stąd zabieraj, bo ci je podsiurawimy, żeby duszyczka wiedziała, któredyś ma z tego worka wykazić.

KASIA: Stul pysk, diable jeden i do rozmowy się nam nie mieszaj. Powiadasz żeś nie żaden diabeł? Chacha, nie jest żech taka głupia, żebych się na byle co dała złapać. Jeżeli nie diabeł, to mi się tu zaraz perządnie przeżegnaj przede mną, tak żalnie, pięknie i bez żadnych grymasów, żebyś mogła ci uwierzyć.

MARCIN: Jeżeli to tylko jeszcze potrafisz...
/żegna się krzyżem, diabły parskają i skrzacają się/.

KASIA: Jak Boga kochasz, to on naprawdę nie żaden diabeł. Co tu robisz w takim razie?

MARCIN: Przyszedł żem rozmówić się z tym doktorem Solfernušem. Ale boję się, czy czasem nie jest już za późno, jeżeli ty już w piekle jesteś. Królowna także tu jest?

KASIA: Ale gdzie tam. Ona ni ma takiego sprytu jak ja. Kiedy jej chłop zaczął przed święconą wodą uciekać, przewróciła się biedaczka zengłona jak kawał drewna. A kiedy ten mój chciał także wziąć nogi za pas, wyskoczyłaśech mi na grzbiet i nie puściła żech aż tutaj.

MARCIN: A co jest z twoją duszą, Kasiu?

KASIA: Z duszą? Jeszcze żech nie patrzyła, ale myślę, że siedzi we mnie jak należy.

MARCIN: No to jednak nie jest jeszcze za późno.
/do diabła/ Gdzie jest doktor Solfernuś?

DIABEŁ: Ja za nim nie chodzę.

MARCIN: Do takiego gadania, to ja żem nie przywykł. Po

dobrze pytam: gdzie doktor Solferino ?

DIABEL:
W powidkowskim zamku na drewnianej górze krówskie
Zajna od konsekwencji oddziela. Tymi pierwszymi
karmi cie będzie od świata, a tymi drugimi w
dniach powszedni.

Musyka 26.

MARCIN:
/uderza maczugą w stół, aż deska poka/
Drugim razem to cie tak bez żeb prasknie, jeżeli
mi zaraz nie odpowiesz: gdzie jest doktor Sol-
ferino ?

DIABEL:
U najwyższego Balzebuba na konferencji.

MARCIN:
Chodź Kaslu, już my go gdzieś znajdziemy.

K u r t y n a.

ODSŁONA OSMA

Sala tronowa księcia Belzebuba. Na najwyższym miejscu /tronie?/ siedzi BELZEBUB, wokół tronu rozmawiają się diabły starego typu, kudłate, muskliwe, z żaścuchami i widkami. Jeden z nich chwytą muchy latające Belzebubowi koło nosa.

Musyka.

BELIAL: To była straszna kompromitacja, Wasza Wysokość. A wszystko to dlatego, że doktor Solfernus jest postrzelonym reformatorem. Do wszystkiego sabiera się jak narwaniec, a potem zmyka ze wstydem. Proszę sobie wyobrazić, że chciał się ożenić z jakąś królową i że go przy tym ksiądz pełnym kropidłem święconej wody pokropił. O, to był naprawdę straszny wstyd.

BELZEBUB: Mnie mucha na nosie siedzi. Dlaczego nie wydacie jakiegosż rozporządzenia, żeby muchy na mnie nie oziadały? Każda mucha, która poważy się usiąść na Mojej Wysokości, niech natychmiast zesztanie skrócona o głowę. Mów dalej, Belialu, mnie się przy tym bardzo przyjemnie śrzenie.

/W tem rozlega się energiczne pukanie, wchodzi SOLFERNUS/.

SOLFERNUS: Kłaniam się uniżenie Waszej Wysokości. Właśnie wróciłem z podróży lustracyjnej i śpieszę złożyć Waszej Wysokości sprawozdanie.

BELZEBUB: Kto to przyszedł. Szolfernus? Szolfernussie, powiedz muchom, żeby mi na nosie nie oziadały. Jak ja mam panować, kiedy mam muchę na nosie?

BELIAL: Sprawozdanie pan kolega przynosi? Już słyszeliśmy

coś niccoś o pańskiej żeniaczce. Hojnie serdecznie kondolencje, panie kolego. To nieprzyjemny wypadek.

SOLFERNUS: Wile pan, drogi doktorze, tak samo dobrze jak ja, że nie ma to żadnego niemal znaczenia. Cyrografy na dwie dusze mam w kieszeni bez względu na to, czy doszło do ślubu czy też nie. Ale przynoszę miłościvym uszom Jego Wysokości ważniejsze sprawy. Przeprowadziłem nagłą kontrolę naszej placówki B 3456 oznaczonej w katastrofie królestwa Mezulanii jako Czarci Młyn. Stosunki, jakie tam zastałem są zupełnie groteskowe i absurdalne. Byłbym, że mnie paraliż tknie ze złości, gdy znalazłem tam dwóch przedpotopowych cybarków, którzy z nieprawdopodobną głupotą oddają się straszeniu...

BELIAL: Pan zawsze jest pesymistą, panie kolego. Ta placówka ma wcale dobre wyniki.

BELZEBUB: Czo Belial powiedział ? /usypia/

SOLFERNUS: Ale to nie jest bynajmniej odcosobniony wypadek. O ile jestem poinformowany, w podobnie opłakanym, jeśli nie bardziej nawet katastrofalnym stanie, znajduje się dobra połowa naszych ekspozytur.

BELZEBUB: /budzi się/
Czo mówi Szolfernusz ? /usypia/

BELIAL: Panie doktorze, pan jest całkowicie negatywnie nastawiony w stosunku do takich metod administrowania.

BELZEBUB: Tak, tak, administrowanie to ciężka rzecz, ja to znam. Czy tylko mamy dość węgla na zimę ?
/usypia/

SOLFERNUS: Wasza Wysokość nie może tego tać, jeśli tak dalej pójdzie, piekło zbankrutuje.

BELZEBUB: To dobrze, to dobrze. Tylko czy mamy dosyć węgla na zimę. / ucypia/

BELIAL: Niech się pan nie bawi w fałszywe proroctwa, panie kolego. Piekło jest wieczne, jak to panu może zaskrawie wiadomo.

SOLFERNUS: Ale wróćcie bądźcieś tu wszyscy karaluchy śar-
li z niedzy, jeśli nie nastąpi poprawa.

BELZEBUB: Jeszli nie ma dosyć węgla, to śaszaśniesz bywa
zimno. Prawda. Szolfermesze, że bywa zimno ?
Belial to także wie, że bywa zimno.

SOLFERNUS: Gdyby pan nie był tak satwardziałyś konserwa-
tystą, moglibyś dawno już obsadzić wszystkie
placówki nowocześnie wyszkoloną w piekielnej
akademii generacją. Uczniowie moi są wykształ-
ceni, obrotni w swym zawodzie, biegli w psycho-
logii, wyrobieni towarzysko, świetni poprostu.

BELIAL: Był czas, że diabłu prócz własnej kradzanej akty-
ry na grzbiecie wystarczało zalatywanie piekiel-
nym smrodem. Pan zaprowadza teraz smokingi i
psychologię. Ale pomimo tej całej psychologii
nie może pan przeszkodzić temu, że pańscy ab-
solvenci, i to nota bene tacy z odanaczeniami,
pozwalają swyczajnemu włóczędze słauchnąć sobie
z przed nosa cyrograf.

BELZEBUB: Bukowe drzewo to bardzo dobry opał. Za moich młodych lat to przeważnie paliło się bukowym drzewem. Teraz znów w modzie jest koksz...

Solfernusie, lubisz ty koksz?

SOLFERNUS: Wedle rozkazu, Wasza Wysokość...

BELZEBUB: Tak, tak, tylko że węgiel jest tańszy. Ale najlepiej grafit antracyt. Czy żanówik mi pan antracyt, Belialu? /Ucypia definitywnie/.

BELIAL: Wszystko jest w najlepszym porządku, Wasza Wysokość.

SOLFERNUS: Pan jest plotkarz i potwarca, doktorze Belialu, Ustawicznie mnie pan przed Jego Wysokością oszczerza. Z każdej najmniejszej drobnostki...

BELIAL: Niech pan tak nie krzyczy, doktorze Solfernusie. Jego Wysokość raczej właśnie usnął po męczącej konferencji.

/W tem rozlega się za drzwiami komnaty głośne wołanie MARGINA/:

MARGIN: Solfernus. Solfernus. Odzwij się, gdzie jesteś? Ja cię i tak znajdę, choć byś się na siedem zamków pozamykał.

BELZEBUB: Czemu mnie budzicie. Tak mi się dobrze spało...aaa
Telefon.

BELIAL: To pańska sprawa, panie kolego. Niech pan będzie Zaskaw. /Otwiera drzwi /

MARGIN: /wpada do komnaty, za nim KASIA/:

A tu jest ten doktorski oszust.

SOLFERNUS: Marsz mi z powrotem robaku, bo cię tu każe żywcem poćwiartować.

MARCIN: Tak to już zwykle bywa, że oszust do tego wszystkiego jeszcze wrzeszczy na oszukanego. Ale ze mną to panu tak łatwo nie pójdzie, panie doktor, drugi raz już się panu na dudka wystrychnąć nie dam.

BELZEBUB: Czo mówi ten człowiek ?

BELIAL: To taka jedna z mniejszych aferek doktora Solfernusa, Wasza Wysokości.

SOLFERNUS: Pan doktor Belial przesadza coś nie coś, Wasza Wysokość. /Do Marcina/ Wyjdź i zaczekaj w przedpokoju.

MARCIN: Ale co by tam, panie doktor, ja wam się stąd tak łatwo nie usunę. Przepraszam za śmiałość, kto to jest ten stary pan ?

BELIAL: To Jego Wysokość Belzebub, książę piekieł. Na kolana przed nim, wędrowcze i oddaj pokłon jego majestatowi.

MARCIN: Tylko nie tak nagle, kochany panie. Do tego padania to mam nogi trochę za sztywne w kolanach. Ale jeżeli to jest naprawdę książę od tego piekła, to się doskonale dla mnie składa.

BELZEBUB: Czego chce ten człowiek, Solfernusie ?

MARCIN: Ja im to sam powiem, panie książę. Znowszą skargę na to tu oto doktora Solfernusa, że ukradł mi z kieszeni bluzy dwa listy, które nie

były jego i odwołuję się do pańskiej sprawiedliwości.

BELIAL: Jak to panie kolego? Kradzieże kieszonkowe też należą do psychologii?

BELZESUB: Zdeje mi się, że tu jest przeciąg. Ja nie lubię przeciągu, panowie. Włoch Szolfermusz żądanie drawi.

KASIA: Kiedy tu o skargę idzie, mości panie księże, to ja nam także jedno bardzo ciężkie sążalenie względem tego oto doktora.

MARGIN: Milcz że Kasin, na Boga. Teraz ja muszę gadać.

KASIA: Tylko żebyś dobrze gadał, Marcinie. Jeżeli chłopca nie dostanę, będziesz się musiał sam ze mną ożenić. To by ładnie wyglądało, żeby uboga dziewczyna miała być pokrzywdzona.

SOLFERMUS: A to dobre. Okpiłem konkurencję na świecie żadne duszyczki, a te tu robaki myślą, że coś przed najjaśniejszym tronem wyprotestują.

BELZESUB: Duszyczki...kto tu o duszyczkach mówił? Ja bardzo kocham duszyczki, bardzo. Gdzieś one są, niechże się im przypatrzę.

SOLFERMUS: Pozwól sobie zakomunikować Waszej Wysokości, że zyskałem piekła dwie dusze. Oto są odpowiednie cyrografy, może Wasza Wysokość życzy je sobie prześledzić.

MARGIN: Im to, panie księże, wcale sprawiedliwie z oczu nie patrzy. Ale ja obstaję przy swoim i nam nadzieję, że tę sprawę wygram.

BELSEBUB: /przegląda listy/

To są jakieś białe duszycki...

KASIA: Rany boskie, dyć to jest to nasze pisanie.

MARCIN: Zamknij gębę, Kasio, jeśli się nie chcesz do piekła dostać.

BELSEBUB: Te duszycki to ja szobie schowam. Nie bój się Smolfermanie, nikomu ich nie oddam. To są moje duszycki...

MARCIN: Wlecz się dzieje wola Doża.

/Skoczył do Belsebuba, wyrwał mu listy i wepchnął je za koszulę na piersiach. SOLFERNUS i BELIAL chcą się rzucić na niego, ale MARCIN opędza się machugą/.

BELSEBUB: Cicie są te duszycki? Zdaje mi się, że mi na ziemię upadły. /Ucypia/

MARCIN: Ręce przy sobie, panowie szarty. Tych dusz już żaden rogaty do Zap nie dostanie.

Musyka.

SOLFERNUS: Sardonikam wertebianto

/Machuga wypada Marciniowi z ręki. MARCIN schyla się po nią, ale nie może jej oderwać od podłogi/.

MARCIN: Kasio, te kajdaki zaczynają czerwonać. Podaj mi szybko widły.

Musyka 29.

KASIA: /chce podać widły, ale opuszcza je na ziemię/ Jezuski, to piecze.

SOLFERNUS: No i widzisz głupcze, teraz jesteś bezbronny. Telefon. Hej, służba. Chodźcie po Marcina i wrzućcie go do najgorętszego pieca.

DIABLY: /rzucają się na Marcina, ale Belial powstrzy-

mije ich ruchom ręki/

Musyka.

BELIAL: Spokojnie, panie kolego Solfermusie. Nie możemy w tym miejscu robić bałamu. Jego Wysokość znów raczyła usnąć. Zresztą ta cała sprawa można załatwić spokojnie. Teraz ja panu z kolei, panie kolego, pokażę trochę mojej psychologii.

KASIA: Marciaku, Marcineczku... ja się już poprawię, tylko mnie obrod.

MARCIN: Nie się nie bój, Kasiu. Żebym tu miał na miejscu szczeniad, twojej duszy ja nie oddam.

BELIAL: Pomówmy spokojnie, panie Kabat. Pan jest zły na tego oto doktora Solfermusa, prawda?

MARCIN: Jaki tam zły. Oszust z niego i tyle.

BELIAL: Sytuacja z duszami jednak uległa do pewnego stopnia zmianie. Te cyrografy nie należą już teraz do doktora Solfermusa, lecz do Jego Wysokości Balzabuba.

MARCIN: Jeżeli mnie zdrowy rozum nie myli, to w tej chwili jeszcze należą do mnie.

BELIAL: Tylko spokojnie, panie Kabat. Należą do pana, ale pan zwróci je dobrowolnie mnie jako zastępcy Jego Wysokości.

KASIA: Marcinie, uważaj. W tym cośik jest.

MARCIN: Jeżeli się nie mylę, to nie oddam ich ani wam, ani samemu arcydiabłowi nawet.

BELIAL: Ale odda je pan, odda w swoim własnym interesie. Niech pan spojrzy, mamy pana przecież całkowiście w ręku. Jeśli zechcemy, damy panu zakosztować smak piekielnych - a pan by tego przecież sobie nie życzył, prawda panie Kabat? Tortur każdy człowiek się lęka.

MARCIN: Panie doktor, muszę się panu przyznać, że ja się tam wcale wcale nie boję. Jakem drugo żył strachu śm nie zaznał i myślę, że bez tego strachu już aż do śmierci wytrzymam.

BELIAL: A to dopiero. To z pana interesujący orzowiek. Hm. A co gdybyśmy tak kazali odczłodzić pana ze skóry? Przecież nie popełni pan chyba takiej niedorzeczności, żeby poświęcić samego siebie daremnie za dwie kobiece duszyczki. Stawiam panu zupełnie konkretną propozycję: pan mi odda cyrografy, a ja zapewne panu bezpieczny powrót na świat.

MARCIN: Gdyby mi tak bardzo zależało na całej skórze, to bym do piekła nie laźł, prawda? Moja cała skóra to ostatnia rzecz, którą bym tu chciał ratować.

BELIAL: Z pana jest idealista i romantyk, panie Kabat. Ale idealizm nie popłaca. Niech pan weźmie na zdrowy rozum: co panu tak zależy na tych dziew-czytach?

MARCIN: Co mi zależy? Sam nie wiem. Zależy mi chyba tyle tylko, co na każdego orzowieku. Sumienia spokojnego bym nie miał, gdybym je wam w sapo-nach zostawił. My ludzie musimy sobie prze-cieć pomagać, nie uważa pan?

BELIAL: Zrobił pan przecież, co było w pańskiej mocy. Teraz ulega pan przeważającym siłom i nie pan na to nie poradzi. Musi się pan poddać, gdyż nic innego nie pozostaje.

MARCIN: Poddać? Dać się wziąć żywcem? Do mnie to mówicie, starego wojaka? Haruś Kabat się nie poddaje, to sobie zapamiętajcie raz na zawsze.

KASIA: Z góry na nich, Marcinie. Tyś przecie jedyny chłop, w którym uboga dziewczyna znaleźć może ochronę.

BELIAL: Włose pan nam tych cyrografów nie wyda, panie Kabat?

MARCIN: Rzekłem już raz, że nie wydam.

SOLFERUS: Coś kłopsko z tą pańską psychologią, panie kolego. Ja pana Kabata całkowicie rozumiem. Nie chce wydać papierów, ponieważ się nie boi. Jeżeli się przestraszy, wyda je bez wszystkiego. Sprawa jest prosta. Teraz pokażesz panu Kabatowi, co to jest strach.

MARCIN: A tożem na wet ciekaw.

KASIA: Tylko się trzymaj Marcinie. Wieszysz przecie, że oni się ciebie boją. Kłoby się nie bali, nie robiliby tyle ceregielów.

SOLFERUS: Niech pan nie zwraca uwagi na głupie babekie gadanie, panie Kabat. Z pana jest przecież rozsądny człowiek, nie jedno pan widział w ówczesie, nie jednego spróbował. Ale ja pozwolę sobie pokazać panu rzecz, której pan jeszcze nie widział nigdy. Nazywa się to u nas Kadejowya Żołem. Znakiem ty przyrzad, sam się pan przekonasz. Został specjalnie przez naszych mistrzów skonstruowany z przeznaczeniem na wypadek szczególnej zatwardziałości. Interes nauki skłania mnie żeby wypróbować go

właśnie na panu. Zrobimy więc tak: jeśli nie wyda pan nam cyrografów, za trzy minuty znajdzie się pan na owym wspaniałym łożu. Dónde varò trentopanto. Niech pan żaskawie spojrzaj, panie Kabat.

Muzyka 31.

/Przy zaklęciu Solferna wielkie okno otwiera się samo i na salę bucha blask promieni/.

Taniec.

SOLFERNUS: Proszę bardzo, panie Kabat. Za patrzenie się u nas nie płaci.

Muzyka 32.

KASIA: /z pełnym ciekawości przerażeniem/ Pokażcie /podbiega do okna, patrzy, ale w tej samej chwili odwraca się z krzykiem/: Jezusie, Maryjo. Mar...Mar...Marcinie. /pada na ziemię rażona strachem/.

MARCIN: /Idzie po mału do okna/:
Musiele tam mieć jakiś tęgi tybak, kiedy to nawet Kasię z nóg zwałiło.
/Patrzy, osłupiał na chwilę, sięga ręką do czoła, ściera pot. Stoi chwilę w milczeniu, potem odwraca się i robi niepewnie krok/.

SOLFERNUS: I co pan powie na to, panie Kabat ?

MARCIN: To... jest.... straszno...

SOLFERNUS: Hum, to jednak straszno ? Złakł się pan wreszcie trochę.

MARCIN: Możecie się pochwalić, żeście zobaczyli Marcina

Kabata naprawdę pierwszy raz w życiu w strachu.
Aż mi się krew w żyłach, ścięła...

SOLFERNUS: Więc proszę cyrografy.

MARCIN: /z wahaniami sięga za koszulę, wyjmując papiery,
trzyma je w ręce/
Nieszczęsne dziewczyny...

SOLFERNUS: Niech się pan tylko nie namiętni, bo...

MARCIN: To przecie.... nie jest ... możliwe...

SOLFERNUS: Liczę do trzech.

MARCIN: ...żeby coś tak okrutnego...

SOLFERNUS: ...raz, dwa...

MARCIN: ...na żywych ludzi...

SOLFERNUS: Trzy. Koniec.

MARCIN: Nie. Jeszcze raz nie. To cała wasza sztuka,
żeby ogłupić człowieka, zrobić z niego zastra-
szoną, bezsilną bydlę, męczyć go tak długo,
żeby stracił rozum i wszystkie zmysły. Myśli-
cie sobie, że ja przez ten swój strach zaraz
zajaknę i zbaranieję, że zaprzepaszczę i zdra-
dę te dwie niewinne dziewczyny? Myślicie sobie,
że porządnego chłopca można tak łatwo oszaleć, że
wam ze strachu z ręki będzie żart? Takiego
wstydu sobie samemu nie zrobię. Patrzcie.
/drze papiery, rzuca je Belialowi pod nogi/

Musyka.

Tak. Już po wszystkim. Dwie dusze uratowane, a
ze mną możecie robić, co wam się żywnie podobą.
A nawet możecie mnie... na to Mądrejsze Złoto...

co tam... trochę tego strachu.

BELIAL:

Szuka, brać go.

SOLFERNUS:

Musyka 34.

/Stado diabłów rzuca się na Marcina, ale w tej samej chwili z nieba spływa/:

TEOFIL:

Stójcie, moco piekielne.

BELZEBUS:

/budzi się/ Do licha. Tutaj lata jakas olbrzymia mucha. A szsz, a szsz... Szolfermusze, żeby mi ona tylko na nosie nie usiadła.

TEOFIL:

Marcinie. Jesteś człowiek sprawiedliwy i mój Pan upodobał cię sobie. A was Solfermusze i Belialu nakazuje jak najseurowiej: puśćcie Marcina Kabata w pokój.

BELIAL:

To jest wkroczenie w nasze uprawnienia.

SOLFERNUS:

Krzywdzi się nam dzieje.

TEOFIL:

Jeśli nie wydacie Marcina dobrowolnie, wtargnie tu jazda niebieska.

MARCIN:

Huraaa. Niech żyje dragony Pan Bóg przecie o mnie nie zapomni.

Musyka.

K u r t y n a .

ODSŁONA DZIEWIĄTA
=====

Łas przy chacie rozbójnika SARKI-PARKI. MARCIN KABAT dzwiga się z ziemi jakby z głębokiego smu, rozgląda się, arywa się żwawo na równe nogi.

Muzyka.

MARCIN: Do kroćset. Przecie się mi to nie śniło. Przeciem ja w tym piekle naprawdę był. Ten anioł, chłopczyzna złoty, z największej biedy mnie wyciągnął. Ojoj. Gdziesik tam chyba Kasia musiała zostać. Bidna dziewczyna... ale co tam. Grunt, że tam duszy nie zostawiła. Ze swoim siałem to sobie ona już radę da, tak żeby mi się nijaka krzywda nie stała. /rozgląda się/. O przeciem ja jest przy chałupie zbójca, Prawie w tym samym miejscu chciał mi ten bałwan stracha napędzić. Poczekał no, trutniu, teraz ja tego samego na tobie spróbuje. Będziesz się trząść i zębami kłapać, ani na ciebie groźnego oka nie będę musiał robić. /podechodzi do chaty, wali w drzwi/: Hej, zbójcu, pytam się, co się tam z tobą dzieje?

SARKA-PARKA: /wewnątrz/ Dajcie wy mi wszyscy świąty spokój, ja żem nie jest już żaden zbój, ja se tu rozmyślam.

MARCIN: To jestem ja, zbójcu, Marcin Kabat. Pójdę do ciebie prosto z piekła.

SARKA-PARKA: /wygląda przez lufcik/

A toś ty jest dragonie? A gdzie to masz ten obuszek, com ci go na tę wyprawę pożyczył?

MARCIN: Czkowiaku, jak ci o tym patyku do carysta w tym pośpiechu przepomniał. Leży w piekle w Belzebubowej izbie na samym śródeczku...

SARKA-FARKA: /wyłazi z chaty, szrzedzi/
Toś to zrobił dopiero. Przecie był pamiątkowy.

MARCIN: No, nie pyskuj już, zbóju, nie pyskuj. Jak ci go tak bardzo żal, to ci inny wytnę. Nie wiem, ale, czy ci na nim jeszcze będzie zależało, jak ci opowiem wszystko, co widział.

SARKA-FARKA: Moc coś widział, moc ?

MARCIN: Nie pytaj się nawet. Lepiej tym zrobił, gdybym język za zębami trzymał, żeby cię ze samego strachu szlak nie trafił. Czkowiaku, ci się tam na ciebie przygotowali... Ja żem zawsze myślał, że mi ktoś przeciw strachowi coś zadał, ale kiedy mi tam te twoje żołe pokazali...

SARKA-FARKA: Co ty pleciesz ? Jakie znów żołe ?

MARCIN: Wyraźnie mówię, kiedyś to żołe zobaczysz, co tam dla ciebie przygotowali...

SARKA-FARKA: Nie straszę mnie chłopie, bo ja i tak mam już dość strachu. Co mówisz o tym żołu ?

MARCIN: Powiadam, że jest tam żołe, a na tym żołu stoi napisane: Sarka-Farka, morderca i z ójca. A to ci jest, bracie, takie straszne żołe...

SARKA-FARKA: Jakże to dragonie, oni mnie tam po imieniu znajdą ?

MARCIN: No jakbyś chciał ? Za każdego zamordowanego czło-

wieka dopisali ci przy imieniu grubą czarną kreskę.

SARKA-PARKA: Mar...Marcinie, proszę cię nie kłam. Przecie ja...
ja w życiu nikogo nie zamordowałem.

MARCIN: A ty kręcisz przebrzydki, przecież ci to sam
rzekł.

SARKA-PARKA: To...to...tylko tak, żebyś się więcej bał. Ja żem
tylko narzązał każdemu porządnie, i - co prawda -
kieszeniem na niego poprzewracał, ale mordować...
to nie. Co to, to nie.

MARCIN: Wszystko jedno, z tego się już będziesz potem
przed diabłami tłumaczył, kiedy cię oni tam już
tak zapisali. U nich jesteś morderca i nikt ci
na to nie poradzi.

SARKA-PARKA: O, ja nieszczęśliwy. Coś to o tym żożu powiadała ?

MARCIN: O tym żożu ? to jest strasne żoże. Mokrym się
cały zrobił ze strachu ledwo na nie jednym okiem
rzucił... A jak żem na to obydwoje spojrział, kolana
się podemną ugięły. A jakżem chwile tylko na to
patrzył, to mnie zaraz zengliło.

SARKA-PARKA: Marcinie...Marcinie...Marcineczku... co ja teraz
pocznę ? O ja grzesznik nieszczęsny... Po com ja
to pałke do ręki brał. A jakim już brał, onem żem
chociaż gdyby nie pilnował. A jak mi już ta gęba
tak latała, po com ja takie żgarstwa bezbożne wy-
gadywał. Dokąd się ja teraz obrócę. Na miłosier-
dzie boskie, Marcinie pomóż, poradź mi, ratuj.

MARCIN: Wiesz co, przyjacielu, na to ja będę za skąpy.
To przecie jest bardzo paskudna sprawa.

SARKA-PARKA: Marcinku, koleśko drogi, ja wszystko zrobię, co będę mógł, na kolanach się będę czokgał, trawę będę żarł, ziemię gryzł, drzewa obgryzał, ludzi będę po nogach całował, tylko ty mnie jakoś z tego wydostań.

MARCIN: Daj mi spokój. Do tego to sobie musisz kogoś mądrzejszego znaleźć.

SARKA-PARKA: No to ja do pustelnika polecę. To ponoć jest mądry człowiek. Przez całe życie krzywdy mi tyle co za paznokcie nie zrobił. Może on mi poradzi.

MARCIN: Może, ale powiedzieć trudno.

SARKA-PARKA: Już leczę, Marcinie, nie mogę już ani minutki w życiu stracić. /wybiega/

MARCIN: A to mi komedio dopiero. Rozbójnik dał się złapać. No. Będziesz się miał z pyszna, ty łobuzie skodziejski. Nie powiem ci prawdy, dopokąd cię tego skodziejowania nie oduczę. Żeby się zjawiał teraz ten chłopczyzna skrzydlaty, żeby zobaczył, jaką ja umie szkołę dawać grzesznikom.

Muzyka 36.

TEOFIL: /zjawia się nagle obok Marcina/
Wożakod mnie, Marcinie?

MARCIN: ...no nie, niech pan raczy wybaczyć, panie anioł, ale ja o nich tylko tak idalebko wspominał, żeby dobrze było, gdyby przy tej zabawie nie brakło.

TEOFIL: To ty myślisz, Marcinie, że to jest zabawa?

MARCIN: Jeszcze jaka. Zbałamuciłłem rozbójnika, że się na to piekielne żoło dostanie. Mieliście widzieć, co wyprawiał. Nakgałłem mi...

TEOFIL: Wcale nie zgąłeś, Marcinie. Ani odrobinkę.

MARCIN: Jak to ? Czemu ? Przecież...

TEOFIL: Tego zbója czeka naprawdę Madojowe żoło.

MARCIN: Dajcież spokój. Teraz znów chyba ty aniołku zabawę urządzasz, nie ?

TEOFIL: Hie, Marcinie. Ten zbój to grzesznik straszliwie zatwardziały...

MARCIN: Co to, to prawda, drania z niego kawał jest, ale żeby za to aż żoło piekielne...

TEOFIL: Winy jego są bardzo ciężkie....

MARCIN: To go, żajdaka, zamknąć, żeby aż szczerział. W dyby go powiązać. Baty mi dać, żeby mi grzbiet zesi-
niał. Ja bym mi sam chętnie z jednego przyłożył, żeby mi aż guz wyskoczył. Ale na żoło...

TEOFIL: Jak że to myślisz Marcinie ?

MARCIN: Jak ? Tak to myślę, że co za dużo, to nie zdrowo. Do końca życia bym usnąć nie mógł z przerażenia, gdybym wiedział, że ten zbójniczy naprawdę leży na tym żołu Madojowym.

TEOFIL: Ależ Marcinie, przecież ciebie samego tam chcieli...

MARCIN: Prawda, że chcieli. Ale to dlatego, że to były bestie piekielne. Dziłasy krwiożercze. Ale czę-

129
wiak...nawet ten najgorszy... nawet taka nędzota
jak ja... człowiek się na to patrzeć nie może.
Peschujaj mnie, aniołku, poleć tam na górę, kłęk-
nij zamiast mnie... przed tą wyższą instancją i
rzeknij: Marcin Kabat każe bardzo a bardzo prosić...
A jeżeli o jakąś karę chodzi, to powiedz tam, że
jestem na rozkazy, że tego zotra pokarszę łagą, że
aż trzaski z niego polecą, że mi tak gębę wymalu-
ję, aż mi na niej wszystkie barwy tęczy zakwitną,
że go trawę nauczę żreć i ziemię gryźć... ale niech
to może mi odwożają.

TEOFIL: Tylko dla ciebie to zrobię Marcinie. Już lecę.
/odlatuje/

MARCIN: Peszekał, opryszku, już ja cię nauczę pokutę czy-
nić.

SARKA-PARKA: /wbiega pełen skruchy/:
Ten ci mnie przegnał. Kamieniami zaczął na mnie
ciekać, kiedyś mi nie dość szybko uciekał.

MARCIN: Miałby się tobą może babrać, ty purchawko, co ?
Padnij mi tu zaraz na kolana i tłucz łbem o zie-
mie, bo ja te twoją sprawę do wyższej instancji
posłaż. Zaraz tu będzie z powrotem.

SARKA-PARKA: Kto ?

MARCIN: Jeden mój znajomy, anioł niebieski.

SARKA-PARKA: /podbiega do chaty, zrywa szylt rozbójnika/
A...a...anioł. To się muszę do porządku doprowa-
dzić. /zrzuca zbójnicki płaszcz, kapelusz ciska

w krzaki/. Nie może mnie w tym przecie zobaczyć, bo co by sobie pomyślał. Ja mam tu taką koszulę... po nieboszczeni babci....

/wbiega do chaty, natychmiast wraca w białym giele sięgającym aż do ziemi/

Przed Marciniem, że do pokuty to lepiej pasuje ?

MARCIN: Teraz wyglądasz jak durbina, ty mordko zatracona.

SARKA-PARKA: A broda ? Może bym ją powinien zgolić ? Nie wygląda znoważ po zbójce ?

MARCIN: Brodę możesz sobie zostawić, ona twoim grzechem nie winna. Broda to sama niewinność, bo ją przecie święty Mikołaj nosi.

Muzyka.

TEOFIL: /przylatuje z nieba/:

Marcinie. Pan nasz spełnił twoją prośbę.

Uklęknij, grzeszniku i wysłuchaj Bożego wyroku: jeśli pragniesz zmazać swe winy, pozostań klęcząc o głodzie i pragnieniu na tym miejscu, gdzieś popełnił swe okaraćne uczynki i proś wszystkich przechodzących tedy ludzi by ci przebaczyli dla miłosierdzia Bożego.

SARKA-PARKA: /pada czym prędzej na kolana/:

Zlitujcie się ludczakowie kochani...

MARCIN: Zamknij gębę, jeszcze nikt nie idzie. Przebaczą śmiałość, panie anioł, ale jak ma ten zotr tutaj klęczeć ?

TEOFIL: Krzywdził ludzi, więc przebaczyć mu może tylko człek ukrzywdzony. Tylko taki człowiek mo-

Ze go wyzwolić, który wybaczy mi z głębi serca.
Gdy znajdzie się ktoś tak miłosierny, że zapewni
o własnym cierpieniu, machyli się nad zbójcą i
powie: wstań, ja ci przebaczam, wówczas przest-
nik ten dostąpi łaski odpuśczenia.

SARKA-PARCA: A...a... jak nikt nie przyjdzie?

TEOFIL: Musisz mieć nadzieję, że kiedyś przyjdzie.

SARKA-PARCA: Bieda mnie nieporozumieniem. Nikt nie przyjdzie.
Każdy poszkodowany zdaleka omija to miejsce.

TEOFIL: No to będziesz klęczał po wiek wieków.

SARKA-PARCA: Litości. Litości.

MARCIN: Nie skamaj i bądź rad, żeś tanim kosztem z tego
wylazł. Sprawnij się tu dobrze, a ja idę dalej
w swoją drogę.

TEOFIL: A ciebie, Marcinie, Pan nasz zawiadomiał:
W nagrodę miłostwa możesz wyrazić trzy życzenia,
a każde z nich będzie natychmiast spełnione.

MARCIN: Co tam znów za jakieś życzenia, aniołku?
Przecież to była drobna rzecz. Z Panem Bogiem.
/MARCIN wychodzi, TEOFIL odlatuje do nieba/.

Wskazywa 38.

SARKA-PARCA: /Kłęczy i szlocha/:

Żłitowania proszę, ludczkowie, żłitowania...

/Ledwie MARCIN zniknął, wpada z drugiej strony
LUCJUSZ w stroju myśliwskim/.

SARKA-PARCA: Litości, miłody panie, litości...

LUCJUSZ: Właśnie, gawronku. Wyobraź, że stawiła się natychmiast na twoje zaproszenie, Przecież tyś mnie też napadł, pamiętasz? To by dopiero było komedia, gdybyś się tak nachylił nad taką i rzekł: przebacza ci, mój panu. Diabelska babka trzy razy by na tronie podskoczyła.

SARKA-FARKA: Litości, szkody panie... przebacza ci, panie...

LUCJUSZ: Pójdźcie, kochaneczku, bądź przekonany, że pójdźcie na piekielne żółaczko. Już ci je podgrzewają do właściwej temperatury. Do sądnego dnia tu będziesz klecał, skóra na kolanach na poduszce ci stwardnie, a na żółaczko jednak się dostaniesz. Ja przecież dobrze znam ludzki rodzaj. /wybiega/

SARKA-FARKA: /Klecaj zupełnie słomiany i jęczy cicho, po chwili słyszy krok z przeciwnej strony, szerząca w tę stronę głowę:/
Na miłosierdzie Boże...

MARCIN: /wychodzi z lasu/
Ano wrócił żem się jeszcze na chwilczkę. Posłuchaj no, słóju, czyś ty naprawdę tak ludzi grzmocił?

SARKA-FARKA: Grzmociłem... Wszystkich grzmociłem gdzie popadło, żeb nie żeb. Ja żem zawsze myślał, że to do mojego rzemiosła należy: pienieć za brat, natłuc ile wlezie i gotowe.

MARCIN: A mnie wtedy też także chciało natłuc?

SARKA-FARKA: Także, Marcinie. Wiadomo, że także. Byłbym cię szcziolił pałą po głowie.

MARCIN: Wiesz, żebyś mnie szlachliwie, biedaku ?
i czemuś tego nie zrobił ?

SARKA-PARKA: Po tobie wiedzieć było, Marcinie, że nie masz
pieniędzy. Żebyś chociaż jeden dukacik wziął
w kieszonki, to byś nie musiał. Ilem to ja re-
zy... za dwa grajduary nawet....

MARCIN: Ty żądaczysko wstrętne, ty byś mnie sprzął
nawet i za szczypkę tytoniu, taką co do fajki
wlezie, nie ? Nie wypieraj się, Pan Bóg ma
wzrodek uszy. Przyznaj się zaraz, szój, że-
byś mnie nawet za taką szczypkę tytoniu naprał.

SARKA-PARKA: Sprząbym, Marcinie....całkiem na zdrowie bym
cię wynalował.

MARCIN: A jakim ci się postawił ? Co byś ze mną wtedy
zrobił, żądaku ?

SARKA-PARKA: Trałbym cię być tak długo, aż byś zaczął
o litość prosić... A potem byś rzekł: nie ma
litości, robota niedźny...

MARCIN: /chwyci łaskę i zaczyna okładać rozbójnika/
Ty byciu, ty arcyciężko, ty ośmielco, ty mor-
do szatona, ty bezwstydniku, ty wydrzyduko,
ty wielokro, ty psakudo....

SARKA-PARKA: /Unikając uderzeń/ Marcinko, Marcinie, nie
gniewaj się na mnie za to.

MARCIN: /mści go całaj/
Ty żądaku, ty darmozjadko, ty wyrodku, ty
obojuśniku, ty kuliaku, ty filistynie, ty zga-
rau, ty szelmo....

SARKA-PARKA: Ojej, ojej, koleszko...

MARCIN: /nie przestaje nęcić/

Ty Judaszu, ty przestawierco, ty marcho,
ty gamoniu, ty gnuptaszu, ty pyskaczu, to
tyś mi naprawdę chciał grzbiot na modro wy-
malować ? /przestaje bić/

SARKA-PARKA: Marcinie, Marcineczku, co cię to napadło ?

MARCIN: Przestań tyś i gadaj: chciałś coś albo nie
chciał ?

SARKA-PARKA: Chciał.

MARCIN: No to w porządku. A teraz krzyknij na cały
głos, chciałem naprawd Marcina Kabata.

SARKA-PARKA: Marcineczku, może lepiej nie...ja się
wstydzę...

MARCIN: /zasłiera się kijem/
Krzycz, miserniku, bo...

SARKA-PARKA: /krzyczy/
Chciałem naprawd Marcina Kabata.

MARCIN: No, dobrze. Teraz już nikt co nie powie
żadny są w znowie. Słuchaj, chój, ja jes-
tem jedyny człowiek, który był przez ciebie
napadnięty, a który nie boi się przyjechać na
to miejsce...

SARKA-PARKA: A jesteś Marcinie, jesteś... jeden jedyny
samantolki...

MARCIN: Więc wstań, nieuczepny człowieku. Ja ci

to piekielne żoze darują.

Kusyka.

/podnosi go za rękę/

/w tej chwili rozlega się potężny głos tręb
aniolekich, TEOFIL przylatuje z dwoma aniołkami,
i chcą zabrać ze sobą rozbojnika/.

MARCIN: Podsekajcie no, aniołkowie. Prr. Dokąd to
prowadzicie tego łotra ?

TEOFIL: Dostał łaski przebaczenia.

MARCIN: To jakoż to... to z nim już wazyetko w po-
rządku ?

TEOFIL: To twoja sprawa, Marcinie.

MARCIN: Tak to zaś nie bójcie. Ja sam co do niego
cośkica inne zamysły.

TEOFIL: Ale ja ci go wydać nie mogę, Marcinie. Chy-
ba żeby...

MARCIN: Co... chyba ?

TEOFIL: Chyba żeby to było jedno z twoich trzech
życzeń.

MARCIN: Jaane jak słodko, że to jest moje życzenie,
/chwytając SARKĘ-PARKĘ/: Chodź drabie. Pójdziemy
teraz czynić pokutę według mojego gustu.

ODSLONA PRESTATA

Krajobraz z Oczarcin Młynem, młyn jednak widziany jest teraz w innej perspektywie, tak, że na plan pierwszy wysuwa się wielkie koło młyńskie. MŁARCIN poppycha przed sobą słońce SANKI-FANKI, pare krów za nim widziany ciekawością idzie anioł TEOPIL.

546 1945 1992

MARCIN: No co zróbisz, sądujesz już dokąd się prowadzić?

SARKA-TANKA: /w radoznalym podnieceniu/

Marcinie... ty młodo do Czarniego Rzyna chcesz wprowadzić... ten był za Rzynarza, prawda?

MARCIN: Nie bądź no taki naiwny. Na skrytkarsa już sam cię, zbójni, przecież raz pozyskał, pamiętasz ?

A tyś nie chciała, bo by cię ponad od użytecznej
roboty nlecy bolały.

SARKA-PARKA: No tak, prawda... ale dzisiaj... dzisiaj to bym
się już zrodziła.

MARCIN: Tak ? Zgodził byś się ? Kamienie w ruch puszczasz,
prawda ?

SARAKA-PARAKA: ... i znowu w skrytce sypak...

HAJSDIN: ... kamienie od czasu do czasu nasłakną...

SANKA-TANKA: ... gonty na dachu popravit'jad, žeby nje zaciekalo...

MARCIN: toby ci nie podobało, ty turku przetrzydky. A po-
tem legnąć se na ławie, fajko zakurzyć a poplunąć
se z młynarską pychą. To by dopiero dla ciebie
była pokuta. Nie arcymorderco, musisz mieć inną

karę.

SARKA-PARKA: Chciałbyś je naprawić, tak ?

MARCIN: Ale gdzież tam, ty tumanie. Koło w ruch chce pusić. Hajda. /zatureka rozbójnika laską pod ściep/

A już żeś mi przy tym koło. A patrz zabrad się do tego pięknie, ładnie, żeby ci aż w krzyżach trzeszczęko.

SARKA-PARKA: Ale to przecie nie idzie... Takie koło jest okrutnie ciężkie.

MARCIN: Ruszaj mi tam zaraz /Podzi rozbójnika do koła/ Apatrz mi teraz, żebyś zaczął obracać, bo inaczej to piekielną bandę zwolan, żeby cię na widłach roznieśli.

SARKA-PARKA: /zapiora się przy koło i z olbrzymim wysiłkiem próbuje je wprowadzić w ruch/ Marcinie, dyś ja się tam cały pokamie. Och, ojej, och, to ci będzie mordęga, dyś ta potwora całkiem zarżewiała w kołowychach.

MARCIN: Trzyszej, przyszej. Ta rżsa się ładnie obetrze jak tylko będziesz szybko obracać. No, dobrze. Idzie już ?

SARKA-PARKA: /Obraca kołem jak zwariowany narzekając przy tym/ Marcinie, Marcinie, tyś mi dopiero dał... do licha to ci będzie mordęga...

MARCIN: /do Teofila/

To będzie pokuta, prawda panie anioł ? Przy tym całkiem wszystkie grzeszno wyli z cięka wypoci. Obracaj, chłopie. I powiadam ci, żebyś mi za nim słoneczko nie zajądło nie przestawać. Rano o wschodzie pięknie mi koło rozruszasz, wieczór o chłodku przestaniessz obracać a potem se możesz legnąć w potoku, żebyś się trochę ochłodził.

/Podczas gdy Marcin z Teofilem stoja przy ko-

to i obserwują Sarag-Farke, który nie przestaje obracać koła, wpada na scenę SCHOLASTYK/

SCHOLASTYK: Si go molo. Z widoczna się po lesie płata. To mi dopiero żadne perzalki.

TEOFIL: Ach, ojciec Scholastyk. Czemu się szkodisz, ojciec

SCHOLASTYK: Temu, że czym dłużej, tym mniej jesteś punktualny. Kiedy indziej to przylatywałeś z południowym demonieniem, a teraz już się na wieczorny Anioł Pański nosisi, a mojego ohłaba jak nie na tak nie ma. Z głodu już ledwo na oczy patrzę, jakże więc mogę myśleć o pobożnych sukcesach.

TEOFIL: Wybacz mi ojciec. Przed pokutaniem nie mogłem przyłoczyć, bo misliłay w niebie wielkie święto, musiałem śpiewać w chórze Hosanna i Alleluja...

SCHOLASTYK: Święto? Jakie znów święto, kiedy dziś jest całkiem zwyczajny dzień.

TEOFIL: Ale gdzie tam. U nas była wielka uroczystość. Pamiętasz te dwie dziewocynne dusze, co to o nie Pana naszego prosić chodziłem?

SCHOLASTYK: Królową i Kasję? Pan nadałaje, że już je płonienie piekielne liść.

TEOFIL: Żeby wiedział, że wcale tak nie jest. Zostały wyrwane piekłu, a jeśli się to jeszcze jakoś nie popsuje, otworzą się przed nimi bramy niebieskie.

SCHOLASTYK: Ooo? Przed tymi rozpustnikami? Do ty płaciesz, aniole.

MARGIN: Tak a nie inaczej, pustelniku. Kolega mówi zupełnie prawdę.

SCHOLASTYK: Kasja... i do nieba? Do nieba?

TEOFIL: Jako Bóg nad nami.

SCHOLASTYK:

Patrzcie. Do nieba. Rozpuszczona. Rozwetychna. Balowka rozciąga. Do tego samego nieba co ja, świąty ojciec Scholastyk. Ja chyba zwariuje. Trzydzięci lat na puszczy żyje, modli się, światowych radości się wyrzekł, żeby tylko mieć prawo do chwaly niebieskiej, a teraz miałbym iść do jednego nieba razem z przespanymi dziewczynami? Nie, nie. Pan Bóg byłby niesprawiedliwy.

Musyka.

/W tej chwili roznosi się silny gwałot, w reku Teofila pojawia się miecz ognisty/

TEOFIL:

Pycha diabelska przemawia przez ciebie pustelniku. W niechryścijańską zachwałność odziasał swą duszę. I chciałbyś jeszcze innym szkodzisz Bożego szkodzisz. Straszliwy występok tobą miota. Przytępiaj nocy piekielne. /Ze wszystkich stron wala się diabły/

TEOFIL:

Jednym słowem samknęte sobie drogo do nieba. Bierzcie go, szudy Balzebuba. Do piekła z nim. Tam niech pokutuje, dopóki się z tego złego słowa nie oczyści. Hej diabły, do piekła z nim.

/diabły rzucają się na pustelnika/

MARCIN:

Hej, aniele. Wstrzymaj te kudłate maszkary. Ja bym to z pustelnikiem odrobinko inaczej zrobił.

TEOFIL:

/Daje znak ręką, diabły znikają/

Musyka.

Jakie masz życzenie Marcinie?

MARCIN:

Słuchaj no kolego. Mnie to widać mierzi, że ten słynny po próchnicy chodzi. Tam powinna być wielka kupa worków z żytem i pszenicą, żeby było co kłaść. A pustelnik musiałby każdy z tych worków sam sobie rąbać i wynieść na górę do waju, żeby także raz w życiu poznać, co

to jest robota. Ci dwaj, abójca i pustelnik,
przez całe życie byli zmierni i ludzom nie-
przyjaśni. Niech im teraz za to gdzieśko po-
służą.

TEOFIL: Ruszaj, pustelniku, bierz się do pracy.

Musyka.

SCYTOASTYK: /Wybiega za kulisy, szybko wraca z workiem,
biegnie do zływa, gdzie Sarka-Farka ze strasz-
nym stękanem obraca koło, obydwa trwają w
tej pantominie aż do końca odosłony/.

TEOFIL: No, też już Marcinie są na tych dwóch
dokonał. ? Jesteś zadowolony ?

MARCIN: /sięga do kieszeni, wyjmie próżną fajkę/
A nie, sioło niebieski, tak jakoby być.
Jeszcze żeby tylko miał czy w fajkę nabić.

TEOFIL: Niech się stanie.

Musyka.

/znika/

MARCIN: /zaskoczony sięga do fajki, widzi, że jest
półna/

Ludeczkowie szczi, to jest dopiero abszuga.
/Zapala, pyka ze smakiem/. To by było wszyst-
ko. A teraz zabieram się i szaruję do domu,
w rodzinne wodnianskie okolice. Tego tukania
się po świecie mam już akuratnie w nam rat...
/zafiera do wyjścia, ale w tem z lasu wybie-
ga Kasia/

KASIA: /rusza się w stronę Marcina/.

Marcinku, Marcineczku, przecie ściesz cię do-
gonić.

MARCIN: Kasiu, niechota jedna, skądś cię tu
wzięła ?

KASIA: Gałą drogę z piekła za tobą leczę.
/rzuca mi się na szyję/ Mój ty złocinku Marcinie,
całe życie się już od ciebie krokiem nie ruszę.

MARCIN: zwarlowałaś ? Co bym ja z tobą robił ?

KASIA: Za żonę se mnie musisz wziąć. Być żeś mi to
w samym środku piekła na wszystkie świętości
przysięgał. Ja cie tak kocham, żebych cię z
miłości udusila.

Musyka.

/wisi mu na szyji, Marcin chce się z niej
/otrząsnąć/

MARCIN: Aniele, aniele, na pomoc.

TEOFIL: /przylatuje, ale zawisa dwa metry nad ziemią/
czekał mnie Marcinie ?

MARCIN: Kolego szoty, wybaw mnie od tej pyskatej Kasi,
bo mnie zapęszy.

TEOFIL: Tego ja już... zrobić nie mogę, Marcinie.

MARCIN: To jest to moje ostatnie życzenie.

TEOFIL: Na życzenie już jest za późno, Marcinie...
Twoje trzecie życzenie, to był przecieś tytuś
w fajce /znika/

Musyka.

MARCIN: /przestaje otrząsać Kasię, rezygnuje/
Oj, Panie Boże, to dopiero bida. Jedno głu-
pie słowo czekał z gęby wypuści, a potem go
już sto par woków z powrotem nie wciągnie.
Cóż robić. Chodź Kasin.

Musyka.

/do publiczności/

No i tak się ta kumedyja dzisiaj na koniec
obróciła: zbója żeś od piekła obronił, pustel-
nika żeś od piekła obronił, a za to teraz będą
piekło miał sam... z Kasią...

K o n i e c !